NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 6 sierpnia 1910. Nr. 32.

Tajemnicza zbrodnia.

(Treść na str. 2).



Nr. 32. „Nowości illustrowanych" zawiera: Polityczna wizyta. — Nagły zgon posła. — Kolonia wakacyjna dla dziewcząt sklepowych. — Z podróży króla Ferdynanda. — Postęp awiatyki. — Nowy szpital wiedeńskiego kupiectwa. — Nauczycielskie wakacye. — Luksusowe mieszkanie. — Latawce w armii francuskiej. — Polska wyprawa naukowa. — Zgon wybitnego lekarza. — Groźba wojny domowej w Hiszpanii. — Pogłoski o abdykacyi papieża.

Zdjęcia, dokonane na miejscu wykrycia ofiary tajemniczej zbrodni w Kłomnicach pod Warszawą. — Ujęcie głośnego mordercy.

Tajemnicza zbrodnia.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotograficznych).

Zupełnie przypadkowo i niespodziewanie wyszła na jaw w ubiegłym tygodniu potworna a tajemnicza zbrodnia, spełniona w granicach Królestwa Polskiego na osobie jakiegoś, dotąd nieznanego z imienia i nazwiska mężczyzny. Mianowicie w przydrożnej strudze w Kłomnicach pod Zawadami, znaleźli miejscowi włościanie zanurzoną w wodzie pakę, w której wnętrzu znajdowała się kanapa, a do niej przywiązane zwłoki mężczyzny w sile wieku, zeszpecone w okrutny sposób i obnażone zupełnie, przykryte tylko futrem i płaszczem.



Śmierć wybitnego lekarza: Ś. p. dr. Józef Tchórznicki.

Łatwo zrozumieć przerażenie włościan, którzy odkryli potworną zbrodnię. Ujrzeli oni trupa skrępowanego, pełnego okropnych ran, widokiem swym odrazę budzącego. Rany na ciele zamordowanego przedstawiały się strasznie. Czaszka na ciemieniu rozbita, tak że część kory mózgowej pokryła rudawe włosy. Prócz tego widoczne dwa cięcia głębokie na karku, w kierunku arteryi szyjnej. Dalsza rana w okolicy prawego ucha; widoczna też rana w lewy obojczyk. Zwłoki były opasane tylko koszulą kolorową ze znakiem krakowskiej firmy: „Polakiewicz i Skórczewski“. Kanapa, w której zwłoki spoczywały, wysłana była pledem niebiesko-białym. Prócz tego był tam materac z trawy morskiej i dwie poduszki.

Zawiadomione o znalezieniu zwłok tajemniczej ofiary okrutnej zbrodni władze, rozpoczęły natychmiast energiczne śledztwo, które na razie jednak nie przyniosło zadowalających wyników. Zdołano tylko ustalić, że kanapa ze zwłokami zamordowanego przyszła koleją na kilka dni przedtem na stacyę Kłomnice z Częstochowy. Kanapę tę odebrał w Kłomnicach jakiś niewyśledzony dotąd mężczyzna i zostawił ją na peronie. Dopiero w poniedziałek wieczór ubiegłego tygodnia tajemniczą kanapę, zapakowaną bardzo starannie, tak iż robiła wrażenie paki, odebrano ze stacyi i odwieziono, jak zeznali przypadkowi świadkowie, przez Rudę i Zawady do miejsca, gdzie ją następnego dnia znaleziono.

Co do osoby zamordowanej ofiary nie zdołano na razie nic bliższego ani pewnego stwierdzić. Był to w każdym razie mężczyzna ze sfer inteligencyi, na co wskazują wydelikacone ręce i nogi oraz cała powierzchowność zmarłego, nie mniej znalezione przy zwłokach części garderoby.

Nie ulega dalej wątpliwości, że zbrodnię popełniono znacznie wcześniej, niż zwłoki znaleziono, trup bowiem był w stanie zupełnego rozkładu. Ze względu na to, że mimo strasznych ran niema śladów krwi wewnątrz kanapy, należy wnosić, że zbrodnię spełniono gdzieindziej, nie na kanapie i dopiero później przywiązano zwłoki do niej.

Dalsze śledztwo zdoła niewątpliwie stwierdzić identyczność ofiary potwornej zbrodni, a dzięki dość rychłemu wykryciu zwłok, z pewnością rychlejszemu, niż było w intencyi sprawców mordu, uda się może tychże wyśledzić i ująć.



Tajemnicza zbrodnia: Znalezione w Kłomnicach zwłoki ofiary tajemniczej zbrodni.





Tajemnicza zbrodnia: Znalezione w Kłomnicach zwłoki ofiary tajemniczej zbrodni.

Zgon wybitnego lekarza.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Warszawie znany i ceniony w całym kraju lekarz, dr. Józef Tchórznicki, jeden z najwybitniejszych tamtejszych hygienistów. Urodzony w r. 1849 w Słobnie w gubernii siedleckiej, po ukończeniu gimnazyum wstąpił na wydział medyczny Szkoły głównej, którą ukończył w r. 1874. Dziesięć następnych lat swego życia spędził w Cesarstwie, gdzie zajmował stanowisko lekarza w różnych ziemstwach.

Powróciwszy do kraju, zajął się początkowo praktyką lekarską, wkrótce jednak działalność społeczna w kraju pociągnęła jego umysł, zwłaszcza gdy spostrzegł brak wielu urządzeń hygienicznych, tak popularnych za granicą. Pracował też na tem polu nader intenzywnie i skutecznie. Szczególniej zajmowały go sprawy szpitalne, napisał też kilka cennych prac w tym kierunku, między innemi: „Uwagi nad ustawą szpitalną dla Królestwa Polskiego“, „Felczeryzm w Królestwie“, „Przewodnik dla służby zdrowia“ i wiele innych. Interesował się również życiem naszych robotników, ich odżywianiem się, mieszkaniami i innymi warunkami życia ludu roboczego, nietylko miejskiego, lecz i wiejskiego.



Nagły zgon posła: Bł. p. poseł dr. Henryk Gabel.

Z zakresu tej działalności pozostawił śp. Tchórznicki następujące prace: „Pilne sprawy hygieniczne“, „Mieszkania dla robotników“, „Dla zdrowia ludu“, „Pogadanki z uczniami o hygienie“. Jako lekarz szkół miejskich zajmował się też i młodzieżą, a poglądy swe na wychowanie zawarł w broszurce: „Słowo do nauczycieli i nauczycielek“.

Jedną z największych jego zasług było założenie w Warszawie wzorowego instytutu szczepienia ospy, którym kierował do ostatnich chwil życia. Brał on udział w każdej sprawie społecznej, czynnie spieszył z pomocą ludowi pracującemu, organizował akcyę zakładania tanich kuchni, nie szczędząc na ten cel i własnych zasiłków, choć nie był wcale zamożnym.

Śmierć dra Tchórznickiego obudziła szczery żal w szerokich sferach całego Królestwa Polskiego.

Z podróży króla Ferdynanda.

Król Ferdynand bułgarski, jakkolwiek władca niewielkiego państewka, posiada jednak maniery, którychby się i największy potentat światowy nie powstydził, reprezentuje też powagę swego kraju na zewnątrz w sposób bardzo uroczysty. Jest to, jak się zdaje, jedyna jego zasługa dla przybranej ojczyzny, o politycznych bowiem jego zdolnościach

wyrażają się wszędzie dość pesymistycznie. On niewiele robi sobie z tej opinii Europy i podróżuje niezmordowanie, wchodząc w ten sposób w ślady swego cesarskiego kuzyna z nad Sprewy. Witają go wszędzie z należnymi mu honorami, on zaś przyjmuje je z miłym uśmiechem i wewnętrznem przekonaniem o swem politycznem znaczeniu.

wobec niego i prezydenta Falliéresa prób z nową mitrajlezą, przeznaczoną do ostrzeliwania aeroplanów. Króla bardzo zajęły próby, wogóle interesuje się on bardzo sprawą lotnictwa.

aparatów, a awiator Leminne wykonał wobec niego kilka udatnych wzlotów na biplanie Farmannowskim. Produkcye śmiałego aeronauty tak zajęły króla i jego pociechy, że wyrazili zgodnie życzenie odbycia na-



Z podróży króla Ferdynanda: Król Ferdynand na aeroplanie w towarzystwie awiatora Leminne pod Leodyum.



Nowy szpital wiedeńskiego kupiectwa: Wygląd zewnętrzny monumentalnego budynku.

W czasie zjazdu słowiańskiego w Sofii król Ferdynand bawił właśnie za granicą, odbywając *tournée* po dworach europejskich. Zawadził po drodze i o Paryż, gdzie go przyjmowano bardzo gościnnie. Pomiędzy innemi osobliwościami, które w Paryżu oglądał, wspomnieć wypada o wizycie króla w koszarach oddziału aeronautycznego, gdzie dokonano

Najlepszy dowód tego dał też w dalszej swej podróży, mianowicie gdy gościł w Belgii, celem zwiedzenia tamtejszej wystawy światowej. Z Brukseli udał się król razem ze swoimi obydwoma synami do Leodyum, a stamtąd na poblizkie pola ćwiczeń wojskowych, Kiewit. Tutaj, powitany przez prezydenta, władze miejskie i członków aeroklubu, przyglądał się szczegółowo konstrukcyi rozmaitych

powietrznej przejażdżki. Jakoż po kolei obwoził Leminne najpierw obu książąt, każdego po dziesięć minut, a następnie wzniósł się w powietrze z jego królewską mością. Pomimo znacznej jego wagi osiągnął aeroplan wysokość dziewięćdziesięciu metrów nad powierzchnią ziemi i zatoczył kilka wielkich kręgów. Król, zachwycony tym pierwszym wzlotem, ofiarował swojemu pilotowi krzyż oficerski.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Pożegnanie naczelnika straży: Członkowie ochotniczej straży ogniowej w Przemyślu z powołanym do Sambora naczelnikiem Górniakiem (X).



Postęp awiatyki: Awiator Morane z dwoma pasażerami na monoplanie systemu Bleriota.

W ten sposób zdobył Ferdynand rekord światowy pomiędzy monarchami, żaden z nich bowiem, nawet cesarz Wilhelm, nie szybował jeszcze po przestworzach, zadawalniając się na razie ziemią i oceanem.

Pożegnanie naczelnika straży.

Każda wspólna działalność na polu pracy, czy to społecznej czy politycznej, łączy wszystkich uczestników węzłami serdecznej zażyłości i przyjaźni. Wspólne cele, wspólne zadania, wspólne obowiązki, spełniane w imię idei, łączą tych, którzy pod jej hasłem działają, w jedną niejako wielką rodzinę.

Dużą łączność wyrabia n. p. praca w ochotniczych strażach pożarnych, których członkowie gotowi każdej chwili spieszyć z pomocą nieszczęśliwym, dotkniętym klęską pożogi, gotowi każdej chwili narazić własne zdrowie i życie na niebezpieczeństwo.

Taką solidarną drużyną jest ochotnicza straż pożarna w Przemyślu, której dotychczasowy naczelnik p. Górniak został obecnie mianowany naczelnikiem zawodowej, miejskiej straży pożarnej w Samborze. Dotychczasowi współpracownicy p. Górniaka, członkowie ochotniczej straży przemyskiej, żegnając z żalem szczerym swego naczelnika i chcąc upamiętnić czasy wspólnej pracy, zebrali się niedawno celem odfotografowania się wraz z opuszczającym ich szeregi naczelnikiem Górniakiem.

Zdjęcie to będzie dla członków straży na zawsze miłem, serdecznem wspomnieniem.

Nowy szpital wiedeńskiego kupiectwa.

W r. 1907 postanowiło gremium kupców wiedeńskich na wniosek swego prezydenta Leopolda Pollacka założyć dwie humanitarne instytucye, celem uczczenia jubileuszu rządów cesarza Franciszka Józefa. Uchwalono wybudować przytułek dla ozdrowieńców i szpital, a roboty powierzono znanemu architektowi, radcy budownictwa Ernestowi Gotthilfowi.



Ujęcie głośnego mordercy: Lekarz dr. Harvey Crippen z Londynu.

Na ten cel uzyskano bardzo odpowiednie miejsce w Döblingu, na tak zwanym „tureckim szańcu“ i zabrano się energicznie do pracy. W czerwcu b. r. stanął wspaniały budynek, zajmujący 3700 m², resztę zaś placu o 40.000 m² powierzchni zamieniono na park, przeznaczony dla chorych. Uroczyste poświęcenie odbyło się w ubiegłym miesiącu w obecności arcyksięcia Ferdynanda Karola.

Wspaniały gmach składa się z głównego budynku i całego szeregu pobocznych, a stanowi kombinacyę dawnego systemu szpitalnego z obecnym pawilonowym, przyjmując z obu to, co w nich było dobrem i pożytecznem. Jest to instytucya pośrednia pomiędzy szpitalem a sanatoryum, a wyposażona w najnowsze środki lekarskie. Obejmuje dwa oddziały wewnętrzne, jeden skórny i jeden chirurgiczny, pozostające każdy pod kierownictwem osobnego prymaryusza, ponadto jest jeszcze ośmiu lekarzy dla okulistyki, otyatryi, ginekologii, urologii i laryngologii, oraz wzorowo urządzony zakład dla prześwietlania promieniami Röntgena.

Nowy szpital przeznaczony jest w pierwszym rzędzie dla członków gremium kupieckiego i ich personalu, a następnie dla instytucyi i kas chorych, których członkami są osoby ze stanu kupieckiego. Pielęgnacya chorych jest bezpłatna.

Powołanie do życia tak pożytecznej i humanitarnej instytucyi jest wielką zasługą wiedeńskich kupców, którzy w ten sposób umożliwili swym pracownikom korzystanie z opieki lekarskiej, dotąd dostępnej tylko zamożniejszym osobom, a zarazem zapobiega brakowi miejsc dla chorych w szpitalach wiedeńskich, które niestety okazują się za ciasne dla mnóstwa cierpiących, szukających tu opieki.



Ujęcie głośnego mordercy: Kochanka Crippena le Neve z Londynu.

Piękny czyn wiedeńskiego kupiectwa jest przykładem, godnym naśladownictwa, a zarazem wspaniałem uczczeniem cesarskiego jubileuszu.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Wakacye nauczycielskie: Nauczyciele szkół ludowych, odbywający ćwiczenia w korpusie przemyskim.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

13

(Ciąg dalszy).

— Mniejsza o jego imię i jego narodowość. To ten właśnie, którego szukamy. Czy dawno go pani zna?

— Ze dwa tygodnie. Słyszał o mojej szkole i tak się nią zainteresował, że ofiarował mi roczną subwencyę pod warunkiem, że od czasu do czasu będzie mógł przychodzić i stwierdzać postępy uczenic. Ja nie miałam prawa odmówić...

— Naturalnie... ale zawsze trzeba się było poradzić. Pani zna księcia Sernin; to człowiek dobrej opinii.

— Ach, ja mu najzupełniej ufam; ale on obecnie odbywa podróż. Zresztą ten pan zachowywał się zawsze bardzo właściwie. To dziś dopiero... Ale ja nie wiem...

— Proszę pani, niech pani mówi szczerze... I mnie także może pani ufać...

— Więc dobrze... Pan Ribeira przyszedł dziś do nas. Powiedział mi, że przychodzi z polecenia pewnej pani, że ta pani ma córeczkę, której wychowanie chce mi powierzyć i że mnie prosi, żebym niezwłocznie przybyła. To wszystko wydało mi się zupełnie naturalne. A że miałam właśnie czas, a powozik pana Ribeiry czekał, więc nie certowałam się i wsiadłam z nim razem.

— I czegóż chciał właściwie ten człowiek?

— Chciał mnie wykraść poprostu. Po upływie pół godziny, wyznał mi to najspokojniej... mówiąc przytem o swojej miłości. A że ja chciałam wysiąść, pochwycił mnie za ręce i błagał, abym się zastanowiła. Działo się to, gdyśmy podjeżdżali w górę, za stawem. Koń szedł stępa, a pan Ribeira powtarzał: „Niech się pani zastanowi... niech się pani dobrze zastanowi“... Tymczasem nagle posłyszałam turkot pańskiego automobilu i udało mi się wyrwać i wyskoczyć z powozu... Wtedy p. Ribeira usiłował mnie zatrzymać, ja zaś strzeliłam do niego...

— Więc pani miała przy sobie rewolwer... w przewidywaniu...

— Nie. Ja się nie rozstaję z rewolwerem od czasu... od czasu pewnej przygody... ale o tem nie warto...

P. Lenormand nie nalegał. Zapytał tylko:

— Ale któż pani przedstawił tego Ribeirę?

— Jeden z moich dobrych znajomych, pan Landat, nauczyciel w szkole chłopców. Szkoły nasze są w pobliżu. Widujemy się często.

— Czy byłaby pani łaskawa zaprowadzić nas do niego? Ten pan mógłby nam może udzielić informacyi!

Zastali nauczyciela zajętego w ogródku, otaczającym szkołę. Młoda, poważna twarz jego miała wyraz miły i otwarty. Jasne włosy, w tył odrzucone, odsłaniały szerokie, ładnie zarysowane czoło.

— Dzień dobry, panie Landat — rzekła Genowefa, wyciągając do niego rękę. — Czy nie przeszkadzamy panu?

— Ależ nie. Tylko, nim uścisnę rękę pani, muszę wpierw moją obetrzeć.

Szukał oczyma czegoś, czego jakoś nie mógł znaleść. Ale Lenormand, widząc na ziemi za kępką kwiatów chustkę do nosa, podniósł ją, mówiąc:

— To tego pan zapewne...

Urwał nagle. Chustka wydała mu się taką samą, jak ta, którą mu przyniósł Jakób Doudeville nocą, znalazłszy ją w pościgu za bandytami. Obejrzał znak: litera M.

— Jedno pytanie, łaskawy panie — zapytał zdumiony — jakie imię pańskie?

— Marceli — Marceli Landat.

— Marceli — szepnął pan Lenormand, coraz bardziej zadziwiony — M. L...

Równocześnie konstatował, że młody człowiek ubrany był czarno, że był szczupły, średniego wzrostu i że włosy miał jasne. Przyjrzał mu się z głęboką uwagą. Następnie obszedł go z tyłu, chwycił kraj jego kurtki i odwinął go. Szpilka, czarna stalowa szpilka, którą poprzedniej nocy wpiął w ubranie tajemniczego zbrodniarza, ta szpilka tu się znajdowała.

IV.

Może nigdy jeszcze Lenormand nie potrzebował takiego wysiłku, by pohamować odruch instynktowny. Mimowoli zwrócił się ku swoim inspektorom i już zaczął kreślić ręką gest, nakazujący aresztowanie młodego nauczyciela. Jednakowoż nie dokończył tego gestu. Słów tych nie wymówił. Siadł, nakrył twarz rękoma i zamyślił się głęboko, podczas gdy wszyscy wokoło spoglądali po sobie zdziwieni. Po dłuższej chwili odsłonił twarz spokojną, nie zdradzającą żadnego wzruszenia.

— Panie Landat — zwrócił się do młodzieńca— poszukujemy winnych zbrodni w Palace-Hotelu. Jeden z nich, morderca właściwy, blondynem jest, tak jak pan i podobnie, jak pan, ubiera się czarno. Tej nocy udało mi się wpiąć czarną szpilkę w jego ubranie, a teraz znajduję szpilkę tę wpiętą w pańskie ubranie. A dalej, oto chustka, która wypadła z jego kieszeni — dokładnie podobna do tej, którą pan masz w ręku.

— Ona nie tylko podobna — rzekł młodzieniec zdumiony — ale to jest moja własna. Jak się to stało?

— Panie Landat, ten drugi zbrodniarz, wspólnik mordercy, jest znajomym pańskim. Zauważywszy, że pan jesteś szczupły blondyn i że masz chustki, znaczone literą M., zabrał ci jedną z nich i podrzucił ją na drodze, chcąc na pana podejrzenia skierować. Wreszcie dziś rano odwiedził pana i uszczęśliwił pana tą szpilką...

Zaczął się śmiać.

— Ach, ci bandyci przebiegli są... Ale nie mnie, starego lisa, brać na takie sztuczki!...

Nauczyciel niedorozumiewał się.

— Panie szefie bezpieczeństwa, pan się myli.. Nikt u mnie nie był dziś rano. Miałem tylko wizytę reprezentanta rządu hiszpańskiego...

— Jegomość pan Ribeira jest jednym z aktorów dramatu Kesselbacha i jednym z tych, których ścigaliśmy tej nocy. Jeszcze dziś usiłował porwać pannę Ernemont, z którą go pan zapoznałeś.

— Nie może być! On usiłował...

Marceli Landat pobladł nagle, twarz jego zdradzała najwyższe zdumienie.

I zwrócił się do Genowefy:

— Pani, czy to prawda? O, niech mi pani wybaczy... Ja, któryby życie dał, ażeby pani oszczędzić...

— Skąd pan znasz tego Ribeirę? — przerwał mu pan Lenormand.

— Przyszedł kiedyś do mnie, mówiąc, że z polecenia swego rządu studyuje francuskie szkoły. Za drugą bytnością prosił, bym go przedstawił pannie Ernemont. Odtąd zaszedł jeszcze dwa czy trzy razy, przechodząc... między innymi dziś rano. Nic więcej o nim nie wiem.

— Czy on w Paryżu mieszka?

— Zdaje mi się.

— Czy nie pisał do pana? Nie ma pan od niego jakich słów kilku, jakiego przedmiotu, jakiej wskazówki, któraby się nam przydać mogła?

— Nic nie mam.

— A jednak, panie Landat — wtrąciła [Genowefa — mówił mi pan przed dwoma dniami, że prosił pana o pożyczenie maszyny do pisania i że ułożył list, którego adres pan przypadkiem zobaczyłeś.

— Prawda, pisał do „Grand Journal“ i wsunął w kopertę ze dwadzieścia marek.

— Mam przy sobie dzisiejszy numer, szefie — odezwał się Gourel.

Lenormand rozwinął arkusz i poszukał na ósmej stronicy. Drgnął, odnalazłszy w „prywatnej korespondencyi“:

„Podajemy do wiadomości każdemu, kto zna pana Steinwega, że chcielibyśmy wiedzieć, czy jest w Paryżu i jaki jego adres. Prosimy o odpowiedź tą samą drogą“.

O szóstej wieczorem pan Lenormand wracał do swego gabinetu w prefekturze policyi. Odrazu zawezwał Diensy'ego.

— Masz tu tego człowieka?

— Tak szefie.

— I cóż on ci powiedział?

— Nie mówi ani słowa. Przyprowadziłem go tutaj pod pozorem, że wszyscy przyjezdni cudzoziemcy muszą się meldować w prefekturze policyi.

— Przyprowadź go.

W tejże chwili wszedł chłopak biurowy.

— Jakaś pani, szefie, chce się z panem widzieć. Oto jest bilet.

— Pani Kesselbach! Proś!

Podszedł naprzeciw młodej kobiety i prosił, by usiadła. Miała zawsze w spojrzeniu ten sam smutek, ten sam chorobliwy wyraz niezmiernego znużenia, świadczący o niedoli jej życia. Podała szefowi numer „Grand Journal'u“, wskazując ustęp, w którym była wzmianka o Steinwegu.

— Ojciec Steinweg był to przyjaciel mojego męża i niewątpliwie wiele musi wiedzieć.

— Diensy — rozkazał pan Lenormand — wprowadź tę osobę, która czeka... Wizyta pani nie będzie daremną. Tylko proszę, gdy ta osoba wejdzie, niech pani nic nie mówi.

Otworzyły się drzwi. Wszedł starzec siwobrody, o twarzy zoranej głębokiemi zmarszczkami, ubogo ubrany. Miał znękany wyraz tych nieszczęśliwych, których los gna po świecie za codzienną strawą. Przystanął w progu, mrugał oczami i patrząc na pana Lenormand, z zakłopotaniem obracał kapelusz w palcach. Ale nagle wydał się zdumiony, oczy mu się rozszerzyły i wyjąkał:

— Pani... pani Kesselbach.

Spostrzegł był bowiem młodą kobietę. I już rozpogodzony, uśmiechnięty, zbliżył się do niej bez pierwotnego onieśmielenia.

— Ach, jakiż rad jestem!... Nareszcie!... Myślałem, że już nigdy... Dziwiłem się... żadnych wiadomości... żadnych telegramów... Jakżeż się miewa poczciwy Rudolf?

Młoda kobieta rzuciła się w tył, jakby ją nagle ktoś w twarz uderzył i łkając, opadła na krzesło.

— Co to?... Co się stało? — pytał Steinweg.

Lenormand wtrącił się natychmiast.

— Widzę, mój panie, że nie wiesz o niektórych zdarzeniach, króre zaszły tu niedawno. Dawno pan jesteś w podróży?

— Od trzech miesięcy. Pisałem do Rudolfa z Kapu. Czy on mój list otrzymał?

— Pan Kesselbach jest nieobecny... Wytłómaczę to panu później... Ale przedtem co do jednej sprawy pragnęlibyśmy wyjaśnień od pana. Chodzi tu o osobistość, którą pan znał i którą pan w swoich rozmowach z panem Kesselbachem nazywał Piotrem Leduc.

— Piotr Leduc! Co?! Kto panu mówił?

Starzec był cały wzburzony.

— Kto panu to powiedział? Kto pana wtajemniczył? — powtarzał.

— Pan Kesselbach.

— Nigdy! To tajemnica, którą mu powierzyłem, a Rudolf umie strzedz swoich tajemnic... a zwłaszcza tej...

— Jednakowoż potrzebujemy niezbędnie, żebyś pan nam odpowiedział. Prowadzimy dochodzenie, tyczące Piotra Leduc, a pan jeden może nas objaśnić, skoro pana Kesselbacha niema.

— Więc nareszcie czego panu potrzeba? — Steinweg zdawał się zdecydowany mówić.

— Znasz pan Piotra Leduc?

— Nigdy go nie widziałem, ale oddawna posiadam tajemnicę, która jego dotyczy. Dzięki różnym okolicznościom dowiedziałem się, że człowiek, który mnie obchodzi, żyje w Paryżu, prowadząc żywot rozpustny, pod imieniem Piotra Leduc.

— A czy on zna swoje prawdziwe nazwisko?

— Przypuszczam.

— A pan?

— Tak, ja je znam.

— Więc niechżeż pan nam je powie.

Starzec zawahał się, a potem gwałtownie wybuchnął:

— Nie... nie mogę... nie mogę! Nie mam do tego prawa. Cała tajemnica w tem. Gdym tę tajemnicę powierzył Rudolfowi, on przywiązał do niej tak wielką wagę, że dał mi znaczną sumę, aby okupić moje milczenie — a nadto przyobiecał mi cały majątek w dniu, gdy Piotra Leduc odnajdzie i korzyść z tej tajemnicy wyciągnie.

Uśmiechnął się gorzko.

— Znaczna suma pieniędzy już nie istnieje; przybyłem się dowiedzieć o mój majątek.

— Pan Kesselbach nie żyje — oznajmił p. Lenormand.

Steinweg podskoczył.

— Nie żyje! Czy być może! nie, to tylko podstęp... Pani Kesselbach, czy to prawda?

Spuścił głowę. Wydawał się przygnieciony tą wiadomością, a przytem musiała go dotknąć nader boleśnie, gdyż zaczął płakać.

— Mój biedny Rudolf... znałem go maleńkim. Przychodził bawić się do mnie w Augsburgu... Tak go kochałem... I on mnie, nieprawdaż, pani? Stary pan Steinweg, tak mnie nazywał...

— Słuchaj pan — rzekł dobitnie Lenormand.— Pan Kesselbach został zamordowany... No, uspokójże się pan — krzyki zbyteczne... Został zamordowany i wszystko na to wskazuje, że winny zbrodni znał ten projekt. Czy było co w tym projekcie, coby pozwoliło panu odgadnąć...

Steinweg, skonsternowany szepnął:

— To moja wina. Gdybym go nie był skierował na tę drogę.

Pani Kesselbach zbliżyła się, błagając.

— Pan przypuszcza... pan ma jakąś myśl... O! proszę pana, panie Steinweg...

— Nie wiem... nie zastanowiłem się... muszę się zastanowić...

— Niech pan poszuka w otoczeniu pana Kesselbacha — rzekł Lenormand. — Czy nikt nie był wtedy wmieszany w wasze narady? Czy on sam nie mógł się zwierzyć nikomu?

Oboje, Dolores i pan Lenormand, pochyleni nad nim, niespokojnie czekali na jego odpowiedź.

— Nie — rzekł — ja nie widzę...

— Imię i nazwisko mordercy — ciągnął dalej p. Lenormand — zaczynają się od L. i od M.

— L. — powtórzył — nie rozumiem — L. i M.?

— Tak, złote litery L. M. umieszczone są na papierośnicy, która należała do mordercy.

— Papierośnica? — powtórzył Steinweg z wysiłkiem pamięci.

— Z bronzowej stali... jedna połowa przedzielona jest na dwie części, z tych mniejsza na bibułki, większa na tytoń...

— Na dwie części... na dwie części... — powtarzał Steinweg, którego wspomnienia ten szczegół budzić się zdawał. — Czy nie mógłby mi pan tego przedmiotu pokazać?

— Oto on, a właściwie jego odbitka — rzekł Lenormand, podając mu papierośnicę.

— Co? Co?! — rzekł Steinweg, biorąc ją do ręki.

Oglądał ją osłupiałym wzrokiem, badał, odwracał i nagle krzyknął; był to okrzyk człowieka, którego okropna myśl uderzyła. I umilkł, sino-blady, z rozszerzonemi oczami; ręce mu się trzęsły.

— Mówżeż pan, mów pan! — żądał p. Lenormand.

— Niech pan mówi, błagam pana — nalegała pani Kesselbach, chwytając się go z rozpaczą.

— O! — rzekł, jak olśniony światłością — wszystko się tłómaczy!

— Mów pan... mów pan nareszcie!....

Odepchnął ich oboje, podszedł chwiejąc się, do okna, a potem wrócił i rzuciwszy się ku panu Lenormand, wykrztusił:

— Panie, panie... ja panu powiem, kto jest mordercą Rudolfa... Otóż to...

Rozdział II.

Pan Lenormand zwyciężony.

I.

Przerwał.

— Więc któż to jest? — pytali tamci.

Z minutę trwało milczenie. — W wielkiej ciszy tych murów, które tyle wyznań, tyle oskarżeń słyszały, czy rozlegnie się imię wstrętnego zbrodniarza?

— Nie — szepnął Steinweg — nie, ja nie mogę...

— Co pan mówisz? — krzyknął szef bezpieczeństwa wściekły.

— Ja tego powiedzieć nie mogę.

— Ależ pan nie ma prawa milczeć! Sprawiedliwość żąda, byś pan mówił.

— Jutro... Ja jutro powiem... Ja się muszę zastanowić... Jutro powiem panu to, co wiem o Piotrze Leduc... i wszystko, co przypuszczam odnośnie do tej papierośnicy. Jutro... przyrzekam panu...

Odgadywało się w nim ten upór, z którym próżno walczyć najenergiczniejszym wysiłkiem. Lenormand ustąpił. Zadzwonił i wchodzącemu Diensy szepnął na ucho:

— Odprowadź go do hotelu i zostań tam; nadeślę ci dwóch kolegów. A pilnuj go dobrze. Łatwo mogliby chcieć go porwać.

Inspektor wyprowadził Steinwega, a Lenormand zwrócił się do pani Kesselbach, wielce wzruszonej tem przejściem i tak znużonej, że już nie śmiał wypytywać jej o szczegóły znajomości męża jej ze starym Steinwegiem.

— Czy mam wrócić jutro? — zapytała, zabierając się do wyjścia.

— To zbyteczne, pani. Ja pani doniosę o wszystkiem, co Steinweg powie. Czy wolno mi panią odprowadzić do powozu?

Otworzył drzwi i puścił ją naprzód. W tej chwili krzyki jakieś dały się słyszeć w korytarzu i nadbiegać zaczęli ludzie, inspektorzy służbowi, chłopcy biurowi...

— Szefie, szefie! Diensy!...

— Wyszedł w tej chwili!

— Znaleziono go na schodach...

— Zabity?...

— Nie, omdlały. Ktoś go potłukł...

— A ten człowiek, który z nim był? Stary Steinweg?

— Niema go! Zniknął!

— Do dyabła!...

Lenormand błyskawicznie zbiegł po schodach i wpośród gromadki trzeźwiących osób znalazł Diensy'ego w sieni pierwszego piętra. Diensy otworzył oczy i zaraz, odzyskując przytomność, wybełkotał:

— Tutaj... tamte małe drzwiczki...

— Ach do kata! drzwi siódmej izby — zawołał szef bezpieczeństwa... Toż mówiłem, żeby je na klucz zamknąć!...

Rzucił się i chwycił klamkę.

— Ot co! Rygiel zasunięty z przeciwnej strony...



To ona — szepnął Hartog.

Drzwiczki były częściowo oszklone. Rękojeścią rewolweru rozbił szybę, odsunął rygiel i rozkazał Gourel'owi:

— Pędź ku wyjściu na plac Dauphine... a ty, Bonivent ku bulwarowi Pałacu!...

— Mów Diensy, co się stało? — zwrócił się do leżącego. Kto ciebie tak urządził?

— Palnął mnie pięścią, szefie!

— Kto, ten stary? Ależ on się ledwie na nogach trzyma!

— Nie ten stary, szefie, ale inny, który spacerował po korytarzu, podczas gdy Steinweg był u pana i który poszedł za nami. Anim się spodział, gdy mnie pięścią ugodził w żołądek... Padłem, a padając miałem wrażenie, że on otwiera te drzwi i ciągnie za sobą starego...

— Czy mógłbyś go poznać?

— Ależ tak, szefie... Silny chłop, skórę ma czarną... jakiś południowiec napewno...

— Ribeira — zgrzytnął Lenormand. — Zawsze on! Ribeira, *alias* Parbury... Ach, ten łotr, co z zuchwałość!... Bał się starego Steinwega... I przyszedł mi go świsnąć tuż z przed nosa!...

I tupnąwszy ze złości, dorzucił:

— Ale skądżeż on wiedział ten bandyta, że Steinweg tu był! Jeszcze niema czterech godzin, jak ścigałem go w lesie za Villeneuve... a teraz on tu... Skąd on się dowiedział?... Czyż on żyje w mojej skórze?

Wpadł w takie zamyślenie, jakie go chwilami nachodziło, w czasie którego jakgdyby nie słyszał i nie widział. Nie odpowiedział nawet na ukłon pani Kesselbach, przechodzącej mimo. Obudził go odgłos kroków na korytarzu.

— Szefie, dwóch ich było — wołał Gourel zadyszany. Poszli tędy, a wyszli na plac Dauphine. Hartog ich widział... Przyprowadziłem go. Opowiadaj, Hartog!...

— Szefie, chodziłem tam i napowrót pod drzewami na placu Dauphine i za każdym razem mijałem automobil, który się tam zatrzymał. W automobilu siedział jakiś pan i jakaś kobieta... kobieta bez kapelusza... jak gdyby służąca... ładna, bardzo ładna... To też patrzyłem...

— Mów prędzej!

— Otóż nagle ona wysiadła i otworzyła drzwiczki... I dwaj panowie, którzy prowadząc się pod rękę wyszli z pałacu sprawiedliwości, przeszli ulicę bardzo prędko i wsiedli do automobilu, który ruszył prosto ku Sekwanie i skręcił na lewo.

— Jak ci dwaj wyglądali?

— Jeden bardzo ciemny na twarzy, wysoki, tęgi... drugi był mały staruszek.

— A ci, którzy czekali?

— Kobieta była to blondynka, trochę rudawa, ładna, bardzo ładna... twarzy mężczyzny nie widziałem... Miał miękki kapelusz, spuszczony na oczy i jasne włosy.. był czarno ubrany.

— To on, morderca — szepnął Lenormand — wspólnik Ribeiry-Parburego.

Głośno zaś dodał:

— I niczego więcej nie zauważyłeś?

— Owszem, byłem niedaleko, gdy tamci wsiadali i usłyszałem, jak ten wielki mówił po niemiecku: „Gertrudo, upadła ci rękawiczka... podnieś ją..“

— Gertruda... Gertruda... — powtarzał szef bezpieczeństwa, przypominając coś sobie. I nagle odwrócił się, odtrącił otaczające go osoby i pędem zbiegłszy po schodach, przeskoczył dziedziniec i wybiegł na ulicę.

— Stój! — wołał — stój!

Powóz dwukonny właśnie ruszał. Był to powóz pani Kesselbach... Stangret usłyszał i stanął. Lenormand skoczył na stopień.

— Po stokroć panią przepraszam... Ozy pomoc pani jest mi niezbędną. Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie? Musimy szybko działać... Gourel, sprowadź mi automobil.

Zaczęła się bieganina. Lenormand kipiał niecierpliwością. Pani Kesselbach, stojąc na trotuarze, chwiała się, wąchając trzeźwiące sole. Nareszcie wsiedli.

— Gourel, wsiadaj na rower i goń nas... i Hartog także... prosto do Garches!

— Do mnie? — zapytała Dolores zdumiona.

— Jednej ze służących pani na imię Gertruda, nieprawdaż?

— Tak.

— Wszystko każe mi przypuszczać, że ta Gertruda jest wspólniczką mordercy.

— Och! — pani Kesselbach poniosła rękę do serca — och, czyż można... Gertruda!... Mam ją u siebie od lat... To uosobione poświęcenie, prawość... Panie, Gertruda nie byłaby zdolną!... Ja za nią odpowiadam...

— Przekonamy się, pani!

Na rogatce wychylił się.

— Czy nie jechał tędy automobil-lando z czterema osobami... trzech panów i pani bez kapelusza?... z dwadzieścia minut temu?

— Nie, panie.

— Gourel, objedź fortyfikacye i pytaj u wszystkich bram.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Polska wyprawa naukowa.

Zaszczytne wezwanie spotkało kilku uczonych polskich, zaszczytne tem bardziej, że ze strony obcych. Mianowicie pewne towarzystwo rosyjsko-angielskie zaangażowało profesora lwowskiego uniwersytetu, znanego zaszczytnie podróżnika, dr. Emila Habdank Dunikowskiego do zbadania pod względem geologiczno-górniczym pasma gór, okalającego wybrzeża morza japońskiego.

Prof. Dunikowski zaprosił do współudziału w tej naukowej ekspedycyi prof. uniwersytetu, znakomitego geografa, dra Eugeniusza Romera oraz dwu młodych przyrodników, wychowanków wszechnicy lwowskiej, dra Jana Nowaka i dra Juliusza Tokarskiego.

Wyprawa ta ruszyła w połowie lipca przez Moskwę koleją transsyberyjską do Władywostoku, skąd okrętem uda się do zatoki św. Olgi, a następnie końmi lub pieszo w góry. Powrót ma nastąpić po 5—6 miesiącach morzem przez Japonię i Indye do Europy.

Przed odjazdem fotografowali się przewodnicy wyprawy: prof. dr. Dunikowski i prof. dr. Romer w gronie swych lwowskich przyjaciół, a zdjęcie to znajduje się w dzisiejszym numerze naszego pisma.

Latawce w armii francuskiej.

W armii francuskiej zastosowano obecnie do celów wywiadowczych latawce systemu Codego; latawców tych użyto już w roku poprzednim z dużem powodzeniem w armii lądowej angielskiej. Na pomysł użycia tego prymitywnego a tak dobrego środka wpadł colonel Cody, odbywając na pokładzie statku „Remourqueur" podróż z Calais do Dovru.

System latawców Codego opiera się na następujących zasadach. Pewną ilość ogromnych latawców papierowych, zwanych we Francyi *cerf volants*, umocowuje się do mocnej liny, którą te latawce unoszą w górę, częstokroć do znacznej wysokości. Latawce, w odpowiedniej odległości od siebie ustawione, przedstawiają wcale dużą siłę pociągową. We właściwej chwili umocowuje się do liny, ciągnionej w górę przez latawce, lekki kosz, w którym zajmuje miejsce jeden z żołnierzy lub oficerów; kosz ten zwolna unosi się w górę, skąd można dogodnie czynić obserwacye. Połączony ze swym oddziałem za pomocą polnego telefonu, może patrolujący dzielić się swemi spostrzeżeniami i kierować ruchami oddziału. Po ukończeniu wywiadów następuje spuszczenie kosza w ten sposób, iż linę, która go unosi w górę, zwija się za pomocą korby.

Luksusowe mieszkanie.

Miliarderzy i milionerzy amerykańscy słyną ze swych ekscentrycznych upodobań, a opanowani żądzą błyszczenia nie szczędzą nawet bajońskich sum, byle tylko tym swym zachciankom i upodobaniom zadość uczynić i zaćmić innych. To też Nowy York stał się z jednej strony centrem bogactwa i przepychu, jaki rozsiewają miliarderzy w około, z drugiej zaś centrem skrajnej nędzy i upadku.

Dzielnica, zamieszkana w tem mieście przez najbogatszą ludność, przedstawia się wspaniale. Są tam wille i pałace przepięknej architektury, budowane nadzwyczaj trwale, z kosztownego materyału i z prawdziwie artystycznym smakiem. Budynki takie, choć rozmiarami nie wielkie, kosztują nieraz dziesiątki i setki tysięcy dolarów, a często przeszło milion.

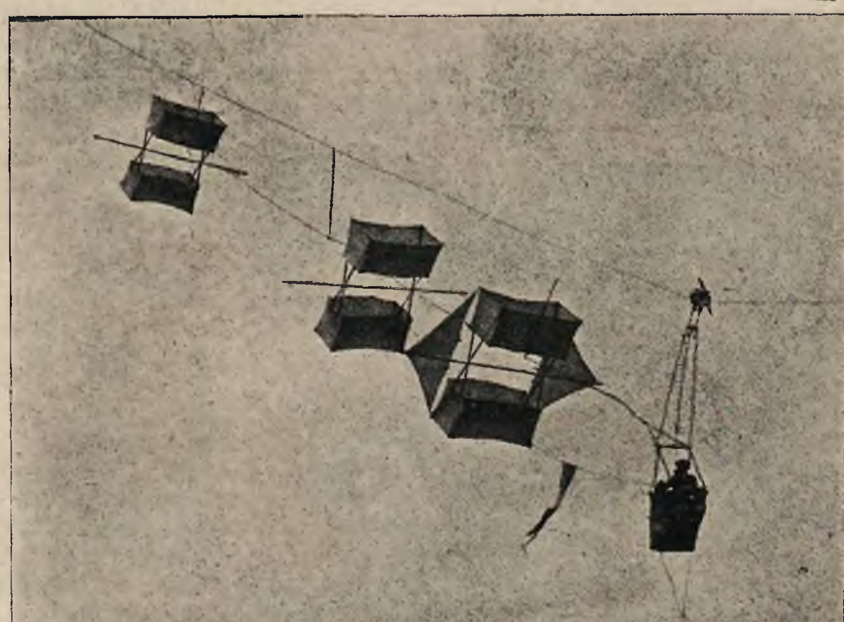
Rekord w tym kierunku postawił słynny miliarder amerykański F. Clark, którego nie wielka willa w Nowym Yorku przekroczyła wartość 7 milionów dolarów i jest istotnie najdroższem, n ajbardziej wykwintnie urządzonem mieszkaniem nietylko w dzielnicy milionerów w Nowym Yorku, ale na całym świecie. Samo wewnętrzne urządzenie tego „gniazdka" miliarderskiego kosztowało 6 milionów dolarów. Można więc już na tej podstawie wyrobić sobie pewne wyobrażenie, jaki przepych zastosowano wewnątrz niewielkiej willi.



Polska wyprawa naukowa: Członkowie wyprawy w gronie swych przyjaciół. Siedzą od lewej ku prawej: dyr. Józef Białynia Chołodecki, prof. dr. Emil Habdank Dunikowski; prof. dr. Eugeniusz Romer. Stoją od lewej ku prawej: prof. Antoni Borzemski, prof. Tadeusz Błotnicki i dr. Janusz Niementowski.



Luksusowe mieszkanie: Pałac miliardera Clarcka, wystawiony i urządzony kosztem 7 milionów dolarów.



Latawce w armii francuskiej: Kosz z żołnierzem, uniesiony w górę za pomocą latawców.

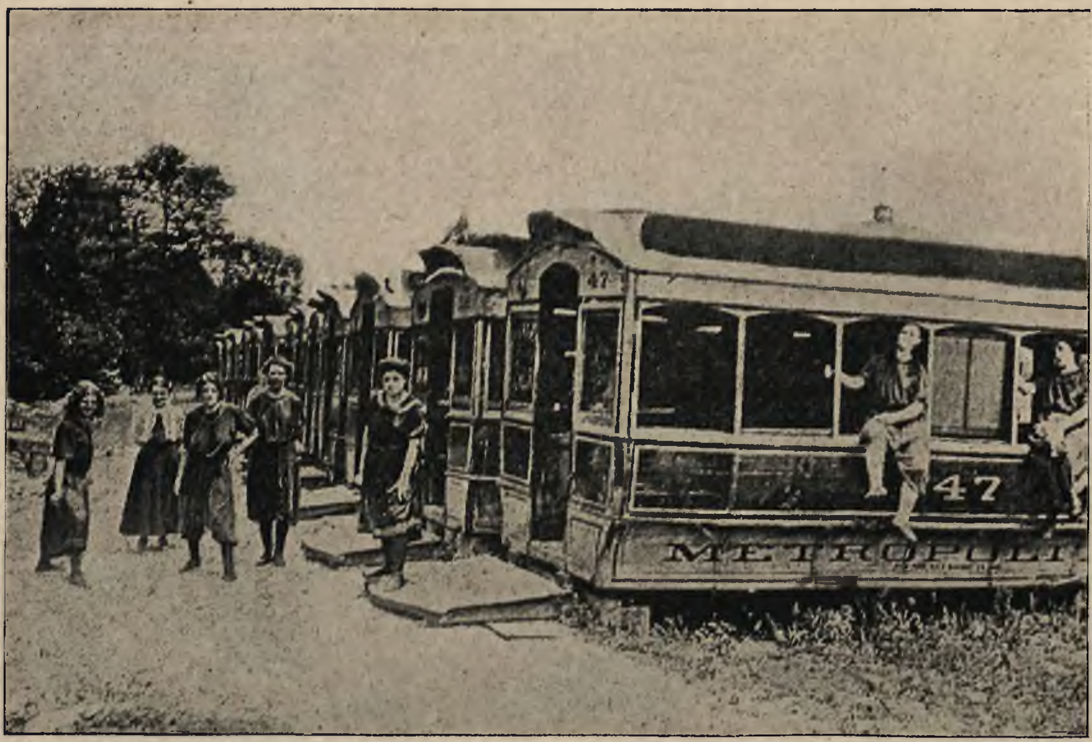
Pogłoski o abdykacyi papieża.

Pisma francuskie przyniosły w ostatnich czasach wiadomość wysoce sensacyjną o zamierzonej rzekomo abdykacyi papieża Piusa X. Dla poparcia tej dość nieprawdopodobnej wiadomości przypominają owe pisma, iż Pius X., jako kardynał Sarto, bardzo niechętnie poddał się woli ogółu kardynałów, którzy na tron papieski go powołali, a do reszty zniechęcić go miały do trudnego stanowiska niepowodzenia polityczne Watykanu we Francyi i ostatnio w Hiszpanii.

Kierownikiem polityki kuryi rzymskiej jest sekretarz papieski, kardynał stanu Merry del Val, cieszący się przychylnością papieża i jego poparciem. Temu kardynałowi zaś głównie przypisują niepowodzenie polityki Watykanu.

Sfery kościelne nazywają pogłoski, umieszczone w pismach francuskich na temat abdykacyi papieża, zupełnie nieprawdopodobnemi. Jakkolwiek nie przeczą, że usposobienie papieża wskutek ostatnich wypadków może być przygnębione, to jednak — zdaniem ich — zrzeczenie się godności, najwyższej w chrześcijaństwie, byłoby niewłaściwością polityczną, czynem wręcz niereligijnym, podkopującym bardzo znaczenie Kościoła, a więc nieprawdopodobnym. Dzieje kościelne notują wprawdzie dwa wypadki zrzeczenia się tjary, tzw. renuncyacyi, jednak w innych zupełnie warunkach i z innych powodów. Nie zna natomiast historya kościelna wypadku, by papież sam z własnej inicyatywy, zrzekał się swej godności.

Zdaje się też, że wiadomości owe są wymysłem niechętnej Watykanowi prasy francuskiej.



Kolonia wakacyjna dla dziewcząt sklepowych: Zużyte wagony, zamienione na mieszkania wakacyjne dziewcząt.



Pogłoski o abdykacyi papieża: Kardynał stanu Merry del Val.

Polityczna wizyta.

Ścisłe i przyjacielskie stosunki, panujące między mocarstwami, należącemi do trójprzymierza, objawiają się częstemi spotkaniami kierowników ich polityki. Głównie dyplomaci austryaccy i niemieccy manifestują w ten sposób nierozerwalność i trwałość trójprzymierza. Włosi trzymają się zazwyczaj w rezerwie, a jeśli uniosą się kiedyś czułościami, to tylko w stronę Berlina.

W politycznych kołach austro-węgierskich wywołała też żywe zadowolenie wizyta nowego sekretarza stanu dla spraw zagranicznych niemieckich, Kiderlen-Wächtera, którą złożył bezpośrednio po objęciu stanowiska austryackiemu ministrowi spraw zagranicznych, hr. Aehrenthalowi w Maryenbadzie. Jakkolwiek i najnowszy zjazd opiera się przedewszystkiem na zażyłości Wiednia z Berlinem, ma jednak o tyle odrębne piętno, że nowy kierownik zagranicznej polityki niemieckiej właśnie od niego niejako rozpoczął swą działalność w poruczonym sobie zakresie.

Od szeregu lat wiążą obu dyplomatów przyjacielskie stosunki i one bezwarunkowo przyczyniły się do tego, że p. Kiderlen-Wächter wybrał się w gościnę do swego austryackiego kolegi i przyjaciela, niemniej jednak pewną jest rzeczą, że wchodził tu w grę jeszcze inny czynnik, tkwiący mianowicie w politycznych przekonaniach niemieckiego męża stanu. Fundamentem ich zaś jest pielęgnowanie najserdeczniejszego stosunku między Austryą a Niemcami i możliwie najtrwalsze zaciśnięcie węzłów trójprzymierza. Kiderlen-Wächter ma być nader zdolnym dyplomatą, odznaczającym się nadto żelazną wolą i niezachwianą wierności przekonań, poprowadzi też niezawodnie zagraniczną politykę Niemiec tradycyjnym torem trójprzymierza, tak nieodzownie potrzebnego Niemcom dla ugruntowania swej powagi znaczenia w świecie.

Aczkolwiek podnoszą się głosy, odmawiające tym odwiedzinom jakiegokolwiek politycznego znaczenia, to przecież pewnem jest, że konferencye maryenbadzkie obu ministrów, choć nie odnosiły się do żadnej specyalnej sprawy, objęły przecież cały kompleks spraw bieżących. Prócz zwykłych w takim wypadku ceremonialnych obiadów i śniadań, w czasie których wygłasza się ułożone z góry toasty i ostentacyjnych wspólnych przechadzek po miejscach publicznych, konferowali obaj dyplomaci przez obydwa dni sam na sam po kilka godzin, jakie zaś sprawy poruszali w rozmowie, to jest już ich tajemnicą, pozostawiającą szerokie popisu dla domyślności dziennikarskich sprawozdawców, którzy przecież słyszą nawet „jak trawa rośnie“.

Podczas oficyalnych przyjęć, jak stwierdzają telegramy, panował nader ożywiony i serdeczny nastrój, jaki zaś był w czasie wzajemnych wynurzeń na osobności, tego naturalnie nie wiemy, ale w każdym razie możemy przypuszczać, że również przyjacielski, wobec czego zapewnionym jest i nadal ów „zbrojny pokój“, który tak pięknie wygląda na papierze i w ustach polityków, a tak boleśnie daje się odczuwać kieszeniom płacących podatki.

Wprost z Maryenbadu odjechał pan Kiderlen-Wächter w dniu 28 lipca wieczorem do Berlina, a grzeczny gospodarz odprowadził go na dworzec i serdecznie na pożegnanie uściskał i ucałował. Możemy więc spać spokojnie!

Zniszczenie fabryki przez eksplozyę.

W miejscowości Friedrichshafen nad jeziorem Bodeńskiem urządzono niedawno, bo z wiosną bieżącego roku, dużą fabrykę karbonium. W fabryce tej rozkładano za pomocą elektryczności gaz acetylenowy na gaz węglowy i wodór, a obu tych gazów używano następnie do celów przemysłowych.

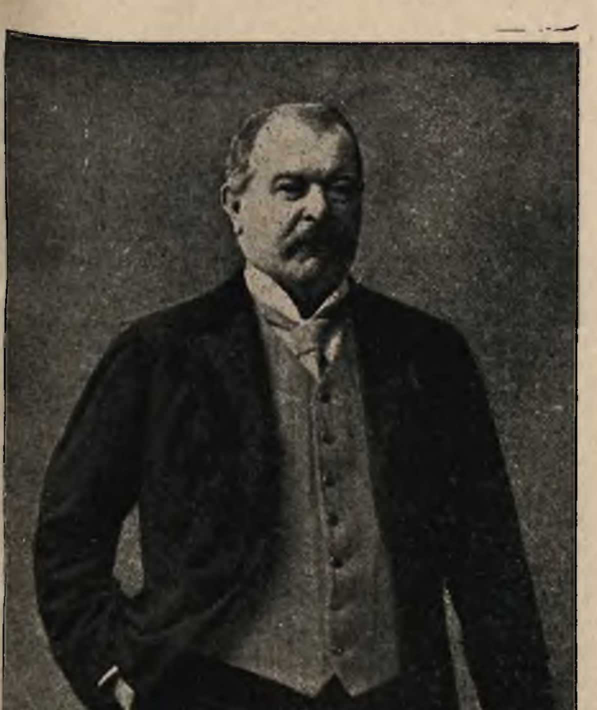
Gazu węglowego, w szczególności sadzy, którą on wytwarzał, używano do wyrobu farb, wodór zaś pobierało towarzystwo budowy statków powietrznych



Pogłoski o abdykacyi papieża: Papież Pius X.

Zeppelina, mające również w Friedrichshafen swoją siedzibę, do wypełniania nim balonów. Fabryka pozostawała pod kierownictwem wynalazcy stosowanego w fabryce systemu, inżyniera Machtolfa.

W ciągu kilku miesięcy od otwarcia i puszczenia w ruch fabyki, funkcyonowała ona wzorowo. Rozwój fabryki zatamowany jednak został obecnie na czas pewien wskutek katastrofy, która tam się wydarzyła przed tygodniem. Stało się to po całonocnej pracy w fabryce, która musiała w oznaczonym terminie dostarczyć towarzystwu budowy balonów Zeppelina 600 m³ wodoru. Pracę tę nad ranem ukończono, wnet jednak potem straszliwa detonacya zwiastowała daleko w okolicy, że wydarzyło się poważne nieszczęście. Istotnie część zabudowań fabryki legła w gruzach wskutek eksplozyi, przyczem dziewięć osób z pośród robotników i urzędników fabryki uległo cięższym lub lżejszym ranom; jeden robotnik zmarł w parę godzin po katastrofie. Materyalne szkody dochodzą 100.000 marek.



Polityczna wizyta: Sekretarz stanu dla spraw zagranicznych niemieckich, Kiderlen-Wächter.



Zniszczenie fabryki przez eksplozyę: Fabryka karbonium w Friedrichshafen, zniszczona wskutek wybuchu gazów.

Komisya, która badała na miejscu przyczyny wybuchu, doszła do przekonania, że wybuch ten został spowodowany wskutek tego, iż gaz, którego zbyt wiele w krótkim czasie wyprodukowano, został przedwcześnie, t. j. przed oziębieniem cylindrów, do ich wnętrza wpuszczony i tam się zapalił, powodując straszliwy wybuch.



Z podróży króla Ferdynanda: Król Ferdynand z prezydentem Falliéres'em podczas prób z mitrajlezą do osztrzeliwania aeroplanów.

Nagły zgon posła.

W młodym wieku, przeżywszy zaledwie 37 lat, zmarł w Wiedniu w ubiegłym tygodniu nagle na udar serca poseł do Rady państwa, adwokat dr. Henryk Gabel, członek syonistycznego klubu poselskiego. Poseł dr. Gabel wybrany został w r. 1907 w okręgu wyborczym Monasterzyska-Buczacz jako poseł mniejszości, przeciw ks. Gromnickiemu. Przeforsowanie kandydatury dr. Gabla było następstwem sojuszu syońsko-ukraińskiego, zawartego w kilku okręgach wschodnio-galicyjskich przeciw Polakom.

Zmarły poseł kończył studya uniwersyteckie we Lwowie, tam też otworzył kancelaryę adwokacką. Nie należał do ludzi wybitnie utalentowanych, był jednak bardzo pracowity i w partyi syonistycznej, do której należał jeszcze od czasów akademickich, odgrywał dużą rolę. Był mianowicie jej wiceprezesem. Kiedy nadszedł okres wyborów powszechnych do parlamentu, syoniści postawili w kilku okręgach galicyjskich kandydatury swoich przedstawicieli, między tymi i dra Gabla; oczywista rzecz, że ani syoniści ani dr. Gabel nie spodziewali się zwycięstwa, a szło im tylko o „policzenie sił“. Poważną stała się kandydatura dra Gabla dopiero wówczas, gdy przyszło do wyboru ściślejszego między nim a kandydatem polskim ks. Gromnickim. Poważną dla tego, że chłopi ruscy, rozagitowani przez prowodyrów, woleli głosy swe oddać syoniście, aniżeli Polakowi. Istotnie też przy ściślejszych wyborach uzyskał dr. Gabel znacznie większą ilość głosów, niż jego kontrkandydat.

Wybrany niespodziewanie posłem do parlamentu, przeniósł bł. p. dr. Gabel kancelaryę swoją do Wiednia i tam stale zamieszkał. Jako poseł odznaczał się niezwykłą sumiennością w pełnieniu swych obowiązków; był członkiem komisyi ubezpieczenia społecznego i pracował w niej bardzo gorliwie, nie opuszczając ani jednego posiedzenia, które odbywały się i teraz, w czasie feryi parlamentarnych. Jeszcze w dniu zgonu uczestniczył w posiedzeniu tej komisyi i wniósł szereg poprawek do wniosku rządowego, których jednak komisya nie przyjęła.

Tego samego dnia, wracając późną nocą do domu, zasłabł nagle na ulicy. Zdołał dobiegnąć jeszcze do najbliższej kawiarni, tam jednak mimo natychmiastowego ratunku życie zakończył. Bł. p. Gabel ożenił się przed paru miesiącami z córką bogatego fabrykanta berlińskiego.

Opróżniony mandat poselski dostanie się obecnie zastępcy bł. p. dra Gabla, Ukraincowi Longinowi Cegielskiemu, koncypientowi adwokackiemu, b. redaktorowi „Diła“.

Balonem do bieguna północnego.

„Największy Niemiec dwudziestego stulecia“, jak go łaskawie raczył nazwać cesarz Wilhelm, przypuszczając, że już w tym wieku nie przyjdzie na



Groźba wojny domowej w Hiszpanii: Liberalny gabinet ministeryalny Canalejasa. (X)]

świat żaden genialniejszy człowiek, hr. Zeppelin, nic sobie nie robi z różnych niepowodzeń, jakie go na każdym kroku prześladują, ale postanowił dotrzeć koniecznie balonem do bieguna północnego i zatknąć tam flagę niemiecką.

Wyruszyła więc wyprawa, złożona z okrętów „Phönix" i „Mainz", zabierając na pokład uczestników podróży, balon i wszelkie potrzebne przybory. Jednak i teraz złośliwy los obszedł się po macoszemu z śmiałymi badaczami, gdyż, jak donoszą telegramy, okręty należące do ekspedycyi, natrafiły na Szpicbergu na pogodę bardzo niepomyślną. W dniu 14 lipca, podczas burzy, złamał się maszt, na którym była urządzona stacya telegrafu bez drutu dla porozumiewania się z okrętami „Phönix" i „Mainz", oba też przez trzy dni mogły się porozumiewać jedynie z okrętem angielskim, krążącym około wyspy Islandyi. Po naprawieniu masztu i odzyskaniu możności telegrafowania, otrzymał „Phönix" wiadomość, że okręt „Mainz" jest zamknięty wśród lodów w zatoce Green Harbour. „Phönix" pośpieszył natychmiast na pomoc, ale nie mógł towarzysza uwolnić z lodów, zabrał więc tylko księcia Henryka i jego orszak na swój pokład, a nadto 130 metrów sześciennych gazu do napełniania balonu, który puszczono na próbę. Następnie „Phönix" dotarł do zatoki Ardent; „Mainz" jest jeszcze wciąż uwięziony wśród lodów. Wszystkie wiadomości z północy każą się spodziewać, że w roku bieżącym będzie na Szpicbergu pogoda niepomyślna, że więc nie uda się przedsięwziąć wyprawy balonem Zeppellina do bieguna północnego.



Balonem do bieguna północnego: Hrabia Zeppelin (X(z uczestnikami wyprawy.

Kolonia wakacyjna dla dziewcząt sklepowych.

Bardzo piękną i prawdziwie humanitarną myśl wprowadziło w czyn jedno z towarzystw społecznych w Nowym Jorku. Zajęło się ono mianowicie urządzeniem specyalnej kolonii wakacyjnej dla dziewcząt sklepowych, dla tych biednych stworzeń, które ciężko pracują całymi dniami i w pracy tej wyczerpują cały zasób sił i zdrowia swego.

Kolonię taką urządzono w Mountainville w miejscowości, jakgdyby na taki cel stworzonej. Okolica przepiękna, powietrze wśród lasów czyste, zdrowe, obfitujące w ozon, wiele łąk o bujnej trawie, a nadto wijąca się wśród nich rzeka, gdzie dziewczęta będą mogły dowoli używać kąpieli — oto zalety pięknej miejscowości.

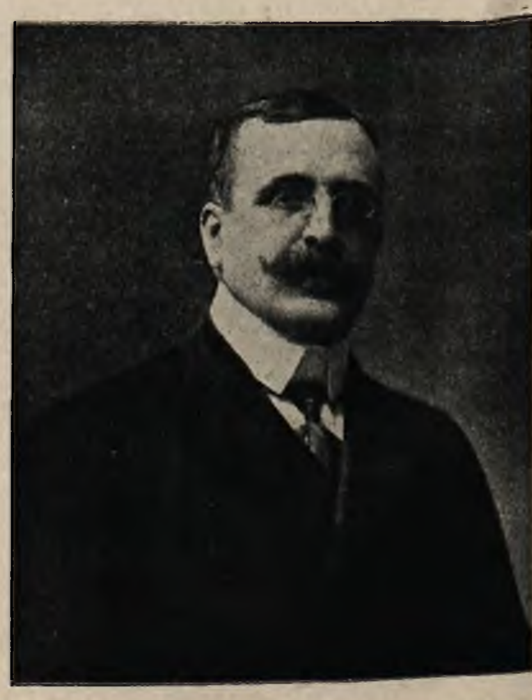
Bardzo pomysłowo a szczęśliwie rozwiązano też kwestyę mieszkań dla kolonistek. Oto zamiast budować kosztowne domy, ustawiono w szeregach zużyte wagony kolejowe i tramwajowe. Nie ma tam wprawdzie komfortu, ale jest wygoda i sporo miejsca, a uniknięto dużych wydatków, które można było dzięki temu na inny, lepszy cel obrócić.

Dziewczęta sklepowe przebywają w tej kolonii przeciętnie po 14 dni, tak że przez cały okres wakacyjny przesunie się ich przez kolonię 500—600. Po dwutygodniowym pobycie na świeżem powietrzu powracają do miasta wzmocnione na siłach, wypoczęte i zdrowe, i mogą z nowym zasobem sił i ochoty wziąć się do ciężkiej pracy na kawałek chleba.



Groźba wojny domowej w Hiszpanii: Tłum demonstrantów w jednej z ulic Barcelony.

Za przykładem praktycznych Amerykanów powinna pójść któraś z naszych instytucyi.



Groźba wojny domowej w Hiszpanii: Prezydent gabinetu liberalnego, Józef Canalejas.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

9

Rozdział XII.

Unosiłem się nad jej urodą, siedząc obok niej w otwartym powozie. I nad innemi jej zaletami unosiłem się także — nad jej prostotą, nad przyjacielskością jej obejścia, nad ufną jej szczerością, To, że ona była jedną z najbardziej znanych osobistości europejskich, po rozmowie naszej ani trochę mi nie przeszkadzało oddawać się błogim marzeniom o możliwej szczęśliwej przyszłości.

Narzucało mi zresztą te myśli zachowanie się samej publiczności, która jakkolwiek wiele grzeczniejsza, niż angielska, w przejeździe przyglądała się nam ciekawie, choć dyskretnie.

Roza przed wyjazdem schowała biżuterye do żelaznej szafy, jedną tylko wspaniałą broszę z szmaragdami przypięła do szyi.

— Jak widzę — zauważyłem — w Paryżu nawet na próby stroić się trzeba w klejnoty!

Roześmiała się.

— Pan myśli, że ja się kocham w klejnotach i pogardza mną pan dla tego.

— Ani trochę. Któż, jeżeli nie pani, ma prawo nosić drogie kamienie.

— A czy też pan wie, dlaczego ja je noszę?

— Nie dlatego, by być jeszcze piękniejszą, bo już nic przecież pani upiększyć nie zdoła.

— Niech pan pamięta, że za to właśnie pana lubię, że nie ma pan zwyczaju prawienia komplementów.

— Bardzo przepraszam. Nie będę już pani obrażał. Otóż przyznaję, że nie wiem, dlaczego pani nosi klejnoty. Musi być coś purytańskiego w moim charakterze, bo nie mogę zrozumieć pasyi do biżuteryi. Mówię to tylko dlatego, że kazała mi pani być szczerym.

Teraz dopiero, gdy sobie tę rozmowę przypominam, widzę, jak wyrozumiałą była ona dla mnie, mimo szorstkości i prostactwa moich pojęć w kwestyi stroju.

— A jednakże pojechał pan do Anglii po moje biżuterye.

— Nie, pojechałem do Anglii, ażeby się pani przysłużyć. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego nosi pani biżuterye i poza sceną?

— Poprostu dlatego, że je mam i uważam, że skoro tak jest, to powinnam ich używać. Poco je marnować, chowając w żelaznej szafie, kiedy są — a do tego są piękne? To szkoda, ukrywać rzecz piękną. Nie dlatego, że są cenne, przywiązuję do nich wagę.

— Jak na osobę, która o nie mało dba, posiada ich pani bardzo znaczną ilość!

— Ach! Wiele z nich podostawałam, a resztę kupiłam, gdy byłam młoda. Zresztą, te biżuterye, to po części kapitał zakładowy w moim zawodzie.

— Gdy pani była młoda! uśmiechnąłem się. — Jak to dawno temu?

— Wieki już!

— Doprawdy!?

— Siedm lat temu byłam młoda! — rzekła — miałam wtedy lat szesnaście.

— W takim razie w istocie, jesteś pani sędziwą; a skoro pani, to i ja.

— Jestem o wiele starsza od pana — rzekła — nie latami, ale życiem. Pan się nie czuje starym.

— A pani?

— Nawet bardzo.

— Skutkiem czego?

— Ach! Doświadczenie życia!... I co innego jeszcze. To dusza się starzeje.

— Ale przecież była pani szczęśliwa.

— Nigdy... nigdy w życiu nie byłam szczęśliwą... z wyjątkiem tych chwil, gdy śpiewałam. A pan?...

Tak! — odpowiedziałem. — Raz... może dwa razy.

— W dziecięcych latach?

— Nie!... odkąd jestem mężczyzną. Bardzo... bardzo niedawno temu...

— Ludziom się czasem wydaje, że są szczęśliwi! — szepnęła.

— Czy to nie wychodzi na to samo?

— Być może... Ale nic mi pan nie opowiedział o swojej podróży. Mówił mi pan tylko o opóźnieniu na kolei i o opóźnieniu znów na parowcu. Czy nie należy mi się usłyszeć trochę więcej szczegółów?

Opowiedziałem jej więc szczegóły; nic jednakże nie powiedziałem o tajemniczym wrogu, który mi towarzyszył, ani o kobiecie, którą spotkałem u grobli w Dover. Nie miałem właściwie powodu do ukrywania się z tem, jednak jakieś instynktowne poczucie skłoniło mnie do zamilczenia.

— Jakież to okropne! Czy bał się pan wtedy... na parowcu?

— Bałem się — przyznałem się szczerze.

— Może mi pan nie uwierzy — rzekła — ale mnie śmierć nie przeraża.

— A czy stała pani kiedy wobec grozy śmierci?

— Kto wie? — odpowiedziała zamyślona.

Stanęliśmy przed teatrem. Lokaj w oliwkowej liberyi zsiadł z kozła i otworzył drzwiczki powozu. Wysiadłem i podałem rękę Rozie; weszliśmy do teatru.

Teraz już była primadonną. Urzędnicy teatralni kłaniali jej się ugrzecznieni i z uprzejmymi uśmiechami odprowadzili nas ku scenie. Reżyser, mały gruby pan z siwymi włosami, ćwiczył właśnie chór. Ujrzawszy nas, porzucił dziewczęta w krótkich sukienkach i zmęczonych chórzystów i posunął w naszą stronę. Orkiestra nagle umilkła. Wszystko się uciszyło. Weszła *gwiazda*.

— Witam panią. Stawiła się pani puntualnie, na minutę.

Roza i reżyser rozmawiali żywo, a i dyrektor orkiestry zeszedł ze swego wzniesienia na scenę i złożywszy Rozie uroczysty ukłon, wmieszał się do rozmowy.

Co do mnie, rozglądnąłem się w koło i mnie się też wszyscy przyglądali.

Po dłuższej chwili gawędy, dyrektor ukłonił się raz jeszcze i wrócił na swoje miejsce. Roza skinęła na mnie i przedstawiła mnie reżyserowi.

— Pan Foster, mój dobry znajomy.

Odkaszlnęła i zauważyłem, że głos miała nieco ochrypły.

— Musiała pani ziębnąć w czasie jazdy — zauważyłem.

— Ach nie, to nic; to przejdzie za chwilę.

Reżyser zaprowadził mnie do krzesełka obok fortepianu, stojącego w kulisach. Kilku artystów, siły widocznie poważne, ukazało się w cieniu, w głębi sceny. Roza zdjęła kapelusz i rękawiczki i złożyła je na fortepianie. Uważałem, że jest silnie zarumieniona, ale składałem to na karb naturalnego podniecenia artystki, zabierającej się do dzieła. Orkiestra rozbrzmiewała głośno w pustym teatrze, a w jaskrawem oświetleniu lamp elektrycznych bez kloszy zaczęła się próba z „Carmen“ od miejsca, gdy Carmen poraz pierwszy wchodzi na scenę.

Wtem, zaledwie z za kulis wyszła na środek sceny, Roza zachwiała się, jak ktoś pijany. Przy wstępnem słowie, zamiast zaintonować, wzniosła do góry ręce i wezwawszy mnie spojrzeniem, upadła na podłogę. Rzuciłem się ku niej i zaraz też wśród całego personalu operowego zawrzało poruszenie.

Przypomniałem sobie podobną scenę kilka miesięcy temu w Londynie... Ona jednakże była zupełnie przytomna, a nawet spokojna.

— Pić! — szepnęła. — Umrę z pragnienia, jeżeli mi zaraz nie dacie trochę wody.

Ktoś przyniósł karafkę i szklankę. Wypiła dwie pełne szklanki, a wypiwszy, upuściła szklankę, która rozprysła się w kawałki.

— Niedobrze mi — rzekła — gorąco mi, a przytem to schrypnięte gardło... Panie Foster, musi mnie pan odwieść do domu. Próbę znów trzeba będzie odłożyć... bardzo mi przykro... To coś dziwnego!

Podniosła się z moją pomocą, rozejrzała się prawie błędnie dokoła, ale do mnie jednego oczy jej zwracały się o pomoc.

— To bardzo dziwne — rzekłem, podtrzymując ją ramieniem.

— Mademoiselle w ten sam sposób zasłabła przeszłym razem — odezwało się kilka współczujących głosów, a kilka kobiet pieszczotliwie się do niej zbliżyło.

— Wracajmy do domu! — krzyknęła i przytuliła się do mnie. Proszę o mój kapelusz i o rękawiczki... Ach! byle prędko!

— Zaraz... zaraz... — odpowiedziałem — postaram się o dorożkę!

— Dlaczego nie moim powozem? — zapytała popędliwie.

— Ponieważ musi pani jechać zamkniętym powozem — odpowiedziałem tonem stanowczym.

— Czy zechce pani łaskawie przyjąć moją karetkę?

Wysoki brunet wystąpił naprzód. Był to Escamillo, baryton. Podziękowała mu spojrzeniem. Jedna z kobiet zarzuciła płaszcz na ramiona Rozy, i odprowadzeni przez barytona, opuściliśmy gmach teatralny. A przecież ledwie chwilę temu weszła tu ufna w siebie i dumna.

Podczas powrotnej jazdy do jej mieszkania, nic nie mówiłem, tylko obserwowałem ją bacznie. Skóra jej rąk sucha była i rozpalona, a na czoło wystąpił lekki pot. Wargi miała zeschłe i bezustannie powtarzała ruch przełykania. Błyszczały jej oczy, jak gdyby wysadzone z orbit. I wciąż boleśnie uskarżała się na straszne pragnienie. Chciała koniecznie kazać stanąć przed którémś „Café“ i napić się czegokolwiek, nie pozwoliłem jednak na to i w kilka minut dojechaliśmy do jej domu.

Atak przemijał. Bez wielkiej trudności weszła już teraz po schodach.

— Musi się pani położyć — rzekłem — za parę godzin wszystko będzie dobrze.

— Zadzwonię na Yvettę.

— Nie — rzekłem — nie zadzwoni pani na Yvettę. Ja sam mam interes do Yvetty. Czy pani nie ma innej służącej, któraby pomódz pani mogła?

— Owszem. Ale dlaczego nie Yvetta?

— Niech mnie pani jutro o to zapyta. Proszę, niech mi pani teraz będzie posłuszna. Jestem lekarzem przecież... Ja zadzwonię. Gdy Yvetta wejdzie, niech pani zaraz wyjdzie z pokoju, zawoła drugą służącą i położy się z jej pomocą. Czy może pani to zrobić? Czy czuje się pani dość silną?

— Owszem, mogę; ale to bardzo dziwne...

Zadzwoniłem.

— Pani to przedtem powiedziała, a ja to powtarzam: to jest dziwne — to jest dziwniejsze, niż sobie pani wyobraża. I o jedno jeszcze muszę panią zapytać, zanim pani pójdzie: wtedy, kiedy pani miała ten atak w teatrze, czy widziała pani wszystkie przedmioty podwójnie?

— Tak — odpowiedziała. — Ale skądżeż pan wie o tem? A przytem miałam wrażenie, że się upiłam; a ja przecież nic nie piłam!

— Daruje pani, piła pani mleko z jajami. Oto tu jest jeszcze szklanka, z której pani piła.

Wziąłem w rękę szklankę, zostawioną na stole, a która zawierała jeszcze może z łyżeczkę płynu.

Wezwana dzwonkiem, weszła Yvetta.

— Pani wcześnie powróciła — zaczęła swobodnie dziewczyna.

— To prawda.

Obie kobiety spojrzały na siebie. Otworzyłem śpiesznie drzwi, by Roza mogła wyjść. Wyszła. Zamknąłem drzwi i plecami się o nie oparłem. Szklankę wciąż trzymałem w ręku.

— Słuchaj Yvetto, mam ci stawić parę pytań.

Stała przedemną, ładna, choć skromnie czarno ubrana i w czarnym fartuszku, ze złożonemi rękoma. Twarz jej nie zdradzała żadnego wzruszenia.

— Słucham, proszę pana, tylko, że pani będzie mnie zaraz potrzebowała.

— Pani ciebie nie będzie potrzebowała. Pani już nigdy ciebie nie będzie potrzebowała.

— Nie rozumiem.

— Widzisz tę szklankę? Coś ty w nią wlała?

— Kucharka w nią wlała mleko z jajami.

— Ale ja się pytam, coś ty w nią wlała?

— Ja, panie? Nic!

— Kłamiesz, moje dziewczę. Twojej pani zadano truciznę.

— Przysięgam...

— Radziłbym ci nie przysięgać. Dwa razy usiłowałaś otruć swoją panią. Dlaczego to zrobiłaś?

— Ależ to niedorzeczność...

— Czy twoja pani używa kropli do oczu, gdy śpiewa w operze?

— Kropli do oczu?

— Ty wiesz, o czem ja mówię. Płyn, który się wkrapla w oko, ażeby rozszerzyć źrenicę.

— Moja pani nigdy nie używa żadnych kropli do oczu.

— A pani Karlotta Deschamps, czy używa kropli do oczu?

Odważnie zapytałem, ale z dobrym skutkiem. Drgnęła i zmieszała się.

— Ja... ja tego nie wiem, proszę pana.

— Pytam, ponieważ takie krople do oczu zawierają atropinę, a pani twoja uległa lekkiemu, bardzo lekkiemu atakowi zatrucia atropiną. Doza musiała być bardzo delikatnie odmierzoną i w sam raz tyle, żeby wywołać chwilową chrypkę i niedomaganie. Nie potrzebuję tego mówić tak bystrej dziewczynie, jak ty, że atropina najpierw działa na gardło. Widocznie było to czyimś zamiarem przeszkodzić pani w śpiewaniu na próbach i w wystąpieniu w Paryżu w operze „Carmen“.

Yvetta wyprostowała się, nozdrza jej drgały. Pobladła.

— Pan mnie obraża swojem podejrzeniem. Proszę mnie wypuścić!

— Jeszcze nie zaraz. Mogę ci jeszcze powie

dzieć, że zbadałem to, co ta szklanka zawiera i znalazłem ślady atropiny.

Nie uczyniłem tego, coprawda, ale mniejsza o to.

— A także, że posłałem po policyę.

I to było zmyślenie.

Yvetta zbliżyła się do mnie nagle i zarzuciła mi ręce na szyję.

— Nie! — rzekłem — nie uda ci się ani mi szklanki wytrącić, ani wylać, co w niej jest!

Teraz, płacząc, padła mi do nóg.

— Niech pan ma litość nademną! — Patrzała na mnie przez łzy, a poza jej była doprawdy efektowna. — To pani Deschamps prosiła mnie, bym to zrobiła... Służyłam wpierw u niej, zanim przyjęłam miejsce u pani. Dała mi buteleczkę, ale ja nie wiedziałam, że to jest trucizna... przysięgam, że nie wiedziałam.

— Więc cóż myślałaś, że to jest? Sok malinowy? Dwa gramy atropiny to śmierć!

Za całą odpowiedź objęła moje kolana. Oswobodziłem się i odstąpiłem o parę kroków. Wtedy zerwała się i skoczyła do drzwi, ale ja je już poprzednio sam zamknąłem na klucz.

— Gdzie jest pani Deschamps? — zapytałem.

— Wraca jutro do Paryża. Niech mnie pan wypuści, proszę! Ja tylko byłam narzędziem.

— Zastanowię się nad tem — odrzekłem. — Mojem zdaniem, jesteś z gruntu złą dziewczyną i nie dowierzam ci nic a nic. Tymczasem daję ci sposobność do rozmyślania nad twoją winą.

Wyszedłem z pokoju i drzwi zzewnątz zamknąłem na klucz.

Muszę tu przyznać, że byłem rad ze siebie — rad, że taki bystry byłem i przenikliwy i że mi się tak dobrze udało.

Rozdział XIII.

Przez następną godzinę kołatałem się po mieszkaniu Rozy jak duch niespokojny, sam nie wiedząc, co czynić. Pragnąłem działać, ale bez upoważnienia Rozy nie śmiałem. Że tu istniał jakiś rodzaj spisku, o tem nie mogłem wątpić, ani też o tem, że na dnie intrygi musiała być Karlotta Deschamps. Parę niejasnych projektów przesunęło mi się przez głowę, ale żaden z nich nie wydawał mi się dostatecznie mądrym. Pomyślałem o pójściu do Karlotty Deschamps, ażeby ją przestrzedz. Potem pomyślałem, że możnaby ją przestrzedz za pośrednictwem jej siostry Maryi, będącej niewątpliwie w Paryżu. Adres Maryi mogłem z łatwością wyszukać, ale może Marya, podejrzliwa, odmówi mi adresu siostry? A zresztą, przypuściwszy, że zobaczę się z Karlottą, cóż ja jej właściwie powiem? Od czego zacznę? Wtedy przyszło mi na myśl, że najkrócej i najprościej będzie udać się do policyi; ale zjawienie się policyi to rozgłos, to skandal, to różne nieprzyjemności dla Rozy. I tak, chcąc być dyskretnym, pozostałem bezczynnym.

Wieczór już zapadał, gdy wyszedłem na ulicę, by odetchnąć trochę świeżem powietrzem. W mieszkaniu Rozy, gdym powrócił, uprzedziła mnie służąca, że pani wstała, czuje się zupełnie dobrze i prosi mnie do swego buduaru. Pospieszyłem tam. Ogień palił się na kominku, a przed kominkiem stały dwa wygodne fotele. Roza spoczywała w jednym, ręką zaś wskazała mi drugi. Ubrana w biały szlafroczek, trochę jeszcze osłabiona po przebytym ataku, wyglądała jak samo uosobienie piękności i wdzięku. W oczach jednak, niezwykle błyszczących, widniał jakiś lęk, jakieś oczekiwanie czegoś niewiadomego.

— Lepiej mi — rzekła z słabym uśmiechem i wyciągnęła do mnie rękę.

Ująłem ją za puls i wyciągnąłem zegarek, zapomniałem jednak liczyć uderzeń pulsu i notować sekundy. Patrzyłem na nią. W tej chwili niedorzeczność mi się wydało uważać za możebne, bym kiedykolwiek mógł ją nazwać swoją.

— Czy nie lepiej się już mam?

— Tak, jak — odpowiedziałem — puls... puls... uż teraz dobrze.

Odsunąłem fotel trochę dalej od kominka i przypomniałem sobie, że o różnych rzeczach muszę jej powiedzieć i różne rzeczy zrobić.

— Spodziewałem się — rzekłem — że atak prędko przejdzie.

— Więc pan wie, co mi było? — odpowiedziała i szybko odwróciła się ku mnie.

— Owszem, wiem — odpowiedziałem stanowczo.

— Powiedz pan, proszę.

Milczałem.

— No, niechże mi pan powie! — powtórzyła. Śmiała się, ale głos jej cichy był i zalękniony.

— Zastanawiam się właśnie, czy mam to pani powiedzieć.

— Co tam! — zawołała dumnie. — Czyż to ja dziecko?

— Jest pani kobietą i dlatego należy pani oszczędzać ostrych kantów życia.

— Ach! — szepnęła — Nie wszyscy i nie zawsze byli tego zdania. I ja wolałabym, by pan tak nie mówił.



Umrę z pragnienia, jeśli mi zaraz nie dacie wody.

— Cóż robić, kiedy tak myślę — odpowiedziałem. — I rzeczywiście, jabym rad uchronić panią przed niepotrzebną przykrością.

— Ależ ja proszę, niech pan wszystko powie — nalegała dalej. — Nie jestem figurką z saskiej porcelany i nie potrzeba się ze mną obchodzić, jak gdybym była ze szkła. Niechże pan powie!

— Skoro pani chce wiedzieć, więc powiem, że zadano pani truciznę.

Opowiedziałem jej o moich uprzednich podejrzenizch i o tem, jak je uprzednie przyznanie się Yvetty potwierdziło. Wstrząsnął nią dreszcz, powstała i zbliżyła się do mnie.

— A więc pan utrzymuje, że Karlotta Deschamps i moja własna służąca zmówiły się otruć mnie li tylko dlatego, że mam śpiewać w pewnej sztuce i w pewnym teatrze? To niepodobna!

— A jednak jest tak! Może Deschamps nie chciała pani zabić; chciała tylko uniemożliwić pani śpiewanie, ale ryzykowała, że może panią życia pozbawić i wiedziała o tem pewnie.

Roza zaczęła łkać; odprowadziłem ją do fotelu.

— Nie powinienem był mówić pani o tem dzisiaj — rzekłem — ale powinniśmy zrobić doniesienie do policyi, a nie chciałem czynić tego bez zezwolenia pani.

Otarła oczy, ale drżała wciąż jeszcze.

— Będę śpiewała w „Carmen“ — uniosła się namiętnie.

— Naturalnie, że będzie pani. One obie muszą pójść do więzienia, a pani musi uzyskać właściwą obronę.

— O policyi pan myśli? Nie! Nie udamy się do policyi.

— Obawia się pani skandalu? Przychodziło mi to na myśl.

— Nie skandalu się obawiam. Za bardzo pogardzam Karlottą Deschamps i Yvettą, ażeby w ogóle zważać na nie. Nigdy nie byłabym przypuszczała, że kobieta tak może postąpić z kobietą.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Ale pani ma obowiązek... — zacząłem.

— Panie Foster, proszę, niech się pan nie upiera. Niezdolna jestem karać takich istot. Pan mówi, że Yvetta zamknięta jest w salonie. Niech pan pójdzie do niej, niech jej pan powie, żeby sobie poszła. Niech jej pan powie, że nic jej nie zrobię, że nie czuję do niej ani urazy, ani żalu, ale że odtąd ona poprostu dla mnie nie istnieje. I niech ona to samo odemnie powie Karlocie Deschamps.

— A przypuśćmy, że one dalej intrygować będą?

— To być nie może. Wiedząc, że raz są wykryte, nie ośmielą się więcej... a nawet gdyby miały jeszcze knować dalej, wolę znieść niebezpieczeństwo, niż wdawać się z takiemi istotami. Pójdzie pan zaraz?

— Jak pani sobie życzy. I wychodziłem z pokoju.

— Panie Foster!

Odwołała mnie. Ująwszy rękę moją prawie pieszczotliwie, podniosła oczy ku mej twarzy. W tych oczach było łagodne, ufne wezwanie, był głęboki i przejmujący smutek, który przejął mnie radosnym dreszczem. Palce lekko ścisnęły moją dłoń.

— Nie podziękowałam panu słowami — rzekła — za wszystko, co pan zrobił dla mnie, za wszystko, co pan robi. Ale pan wie, że jestem mu wdzięczna... wszak prawda?

Czułem, że łzy napływają jej do oczu.

— To nic, to nic przecież... — wyjąknąłem i śpiesznie wybiegłem z pokoju. W pierwszej chwili w salonie nie mogłem dojrzeć Yvetty, choć światło elektryczne świeciło jasno. Wtem poruszyła się jedna firanka i wyłoniła się z poza niej Yvetta.

— O, to pan! — rzekła spokojnie, chłodno uśmiechnięta. Odzyskała zupełne panowanie nad sobą, to było widoczne; i prawdopodobnie postanowiła odegrać rolę swą do końca, przyjmując porażkę z miną ironiczną, wesoło i obojętnie. Yvetta była niezwyczajną kobietą. Twarz jej była groźna i pociągająca zarazem i miała wyraz silnego charakteru; ruchy jej były prawie wykwintne; posiadała spryt i różne umiejętności; wyobrażam sobie, że byłaby zdolną do jakiegoś czynu w wyższym stylu, do wielkiej zbrodni lub też do prawdziwie ofiarnego poświęcenia... Jednakże do dziś dnia nie znam ani zarania jej życia, ani końcowych jej losów.

Przewiew chłodnego powietrza zwrócił moją uwagę na otwarte okno. Zwróciłem się więc do niej, mówiąc:

— Zauważyłem wychodząc, jakiegoś podejrzanie wyglądającego mężczyznę przed oknami na ulicy. Czy to twój wspólnik? Czy porozumiewałaś się już z nim?

Usiadła w fotelu, przechyliła się w tył i zaczęła nucić jakąś piosenkę.

— Odpowiedzżeż mi!

— A jeśli nie odpowiem?

— Mogłabyś też zachować się przyzwoiciej! — rzekłem i podszedłszy do okna, zamknąłem je starannie.

— Żandarmi zapewne wkrótce nadejdą — szepnęła uprzejmie. — Nudzi mnie to czekanie.

Starała się ukryć ziewnięcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Groźba wojny domowej w Hiszpanii.

(Do illustracyi na str. 10).

Od paru tygodni nadchodzą z Hiszpanii wiadomości bardzo niepokojące. Tocząca się tam od pewnego czasu walka między rządem liberalnym a stronnictwami klerykalnemi przybiera charakter z każdym dniem groźniejszy, tak że nie jest rzeczą wykluczoną, iż dojdzie tam do poważnych wstrząśnień wewnętrznych.

Stosunki między Watykanem a rządem liberalnym, na którego czele stoi prezydent ministrów Canalejas, psują się coraz bardziej i trzeba będzie dużych wysiłków dyplomatycznych z obu stron, jeżeli zechcą uniknąć formalnego zerwania stosunków, dla żadnej ze stron niepożądanego.

Watykan, jak wiadomo, domaga się od rządu liberalnego hiszpańskiego cofnięcia tych dekretów, które zdaniem kuryi rzymskiej, stoją w sprzeczności z konkordatem, w szczególności cofnięcia wszelkich ograniczeń, dotyczących klasztorów i zakonów. Rząd hiszpański, oczywista rzecz, musi bronić swej powagi i swego stanowiska i do żądania Watykanu przychylić się nie chce. Tymczasem episkopat i kler hiszpański w coraz ostrzejszy sposób występuje przeciw rządowi i organizuje akcyę opozycyjną na szeroką skalę. Zamierzano między innemi urządzić wielką demonstracyę antirządową wobec króla przed jego rezydencyą letnią w San Sebastian. Tysiące ludności, klerykalnie usposobionej, wybierały się do San Sebastian, aby pod przewodnictwem duchowieństwa demonstrować przed królem. Rząd atoli, obawiając się z tego powodu rozruchów, zabronił tej „zbiorowej wycieczki".

Ale nie na tem kończą się kłopoty rządu hiszpańskiego. Równocześnie bowiem objawił się w całej Hiszpanii, przedewszystkiem zaś w Barcelonie, silny ruch strajkowy, który grozi podobnemi zajściami, jakich niektóre miasta hiszpańskie były widownią w roku ubiegłym.

Najgroźniej przedstawia się sytuacya w Barcelonie, gdzie nastrój panuje wprost rewolucyjny. Miasto przybrało wygląd odmienny, niż w zwyczajnych warunkach. Teatry, sale koncertowe, kawiarnie puste, ruch na ulicy bardzo słaby, stąd wszędzie zastój, bo wszędzie obawiają się wybuchu zamieszek i krwawych starć z wojskiem.

Rząd, obawiając się wobec licznych manifestacyi i pochodów demonstracyjnych, jakie się tam w ostatnich dniach odbyły, nowych zajść, powierzył władzę w ręce znanego z żelaznej ręki, zwłaszcza w tłumieniu wszelkich rozruchów, generała Weylera, nadając mu pełnomocnictwo niemal dyktatorskie.

Jednem słowem Hiszpania przechodzi ciężkie przesilenie wewnętrzne, którego przebieg i ostateczne rozwiązanie dziś się przewidzieć nie da.

Postęp awiatyki.

Z każdym dniem niemal posuwa się naprzód rozwój aeronautyki a zwłaszcza awiatyki, która choć młodszą stanowi gałęź lotnictwa, liczniejszych ma zwolenników i większą zdaniem wielu znawców przyszłość niż balony.

W rozmaitych miejscowościach odbywają się w pewnych odstępach czasu konkursy awiatyczne, które przynoszą coraz nowe zdobycze tej dziedzinie sportu, niektóre prawdziwie zdumiewające.

Do niedawna wielką budził sensacyę lot jednej osoby w aeroplanie. Dziś coraz częściej można słyszeć o jazdach z pasażerami, których oczywiście nigdy nie brak. Każdy bowiem rad zakosztować słodyczy podróży napowietrznej, dostarczającej wrażeń nadzwyczajnych. I dla zakosztowania rozkoszy jazdy aeroplanem nie wahają się ludzie narażać na niebezpieczeństwa, związane w każdym razie z taką jazdą.

Aeroplany silniejszej konstrukcyi a zwłaszcza o silnych motorach, mogą obecnie udźwignąć trzy nawet osoby tj. prócz pilota dwóch pasażerów. Zarówno biplany czyli latawce dwupłaszczyznowe, jak monoplany, czyli jednopłaszczyznowe.

Jak dalece postąpił rozwój awiatyki, dowodzi też fakt, iż coraz więcej kobiet jej się oddaje, doprowadzając niejednokrotnie do bardzo pięknych wyników.

Najważniejszą rzeczą jest w lotnictwie utrzymanie równowagi, bezwzględnie koniecznej w czasie jazdy napowietrznej. Prócz równowagi, odgrywa dużą rolę i waga pilota względnie pasażerów, stąd osoby, chcące spróbować zawrotnej jazdy aeroplanem muszą się przedtem ważyć, celem stwierdzenia, czy obciążenie maszyny do latania nie jest zbyt wielkie. Jedna z naszych rycin, odnoszących się do postępu awiatyki, przedstawia właśnie dwie pasażerki, zamierzające odbyć podróż napowietrzną, w chwili ważenia ich. Na drugiej widzimy je już na aeroplanie.

Dalszy postęp awiatyki i jej rozwój jest zapewniony. Następne pokolenia ludzkości doprowadzą z pewnością do znacznie wspanialszych wyników,



Postęp awiatyki: Madame Frank na aeroplanie systemu Farmana.

Głośne są jeszcze sukcesy pierwszej awiatorki, de Laroche, odważnej Francuski. Uległa ona jednak niedawno fatalnemu wypadkowi, który choć nie pozbawił jej życia, uniemożliwił atoli na długi czas, a może na zawsze, dalszy udział w walce o podbój powietrza.

Podobnie jak liczne wypadki awiatorów nie odstraszyły innych pionierów postępu od dalszych prób w zakresie lotnictwa, tak i smutny przypadek panny de Laroche nie odstraszył kobiet od tego niebezpiecznego sportu. W najbliższym czasie zamierza rodaczka panny de Laroche, madame Frank, przedsięwziąć lot przez kanał La Manche, śladem Bleriota, którego tryumf nie daje spokoju ogółowi awiatorów. Madame Frank posługuje się dwupłaszczyznowcem systemu Farmana. Dzielna awiatorka udała się już do Calais, gdzie czyni ostatnie przygotowania do śmiałego lotu.

Coraz więcej też kobiet próbuje lotów aeroplanami w charakterze pasażerek, co zresztą nie jest mniej niebezpieczne. W razie bowiem wypadku, któremu aeroplan każdej chwili może uledz, ten sam los czeka pilota, co i pasażera.

zwłaszcza że nie brak już i dzieci, zaprawiających się od najmłodszych lat do lotnictwa. Zamieszczamy dziś rycinę, przedstawiającą synka słynnego awiatora Paulhana, oraz mały aeroplanik, specyalnie dla niego zbudowany. Może dzieciak ten wyrośnie na głośniejszego jeszcze niż ojciec awiatora.

Pola do pracy na tem polu starczy na długie jeszcze lata. Dziś bowiem, mimo wielu bardzo udałych prób, musi się powiedzieć, że lotnictwo jest jeszcze w powijakach. Na razie odgrywa ono tylko rolę pewnej gałęzi sportu, dostępnej dla nielicznych wybranych. O praktycznem zastosowaniu aeroplanów na razie jeszcze trudno mówić.

I w tym jednak kierunku jest już postęp znaczny. Obecnie bowiem armie kilku mocarstw posiadają własne oddziały aeronautyczne, gdzie odbywają się także próby z aeroplanami. Można też śmiało twierdzić, że pierwsze praktyczne zastosowanie znajdą maszyny do latania w celach wojskowych, jak każdy prawie doniosły wynalazek, w ostatnich latach dokonany.



Najdłuższy most kolejowy: Most nad Albemarle w Ameryce.



Postęp awiatyki: Synek Paulhana, bawiący się aeroplanem.

Kronika tygodniowa.

(Kanikuła. — Akcyza i tramwaj. — Masło, czy słoma. — Konie i dorożkarze. — Kronikarskie kłopoty. — Jakie miałem projekty. — Do bieguna lub Ameryki. — Opozycya żony. — Coś niecoś ze statystyki. — O rozwodach. — Nowa prochownia. — Rubel i pięć kopiejek. — Rabin cudotwórca i Putyra. — Podrożenie mięsa. — Regulamin i nowa taryfa dla telefonów. — O nowomodnem wychowaniu i ułatwieniach szkolnych. — Skutki rozpolitykowania).

Kanikuła w całem tego słowa znaczeniu zapanowała wszechwładnie na tym padole płaczu i podatków z dodatkami, nawet Rada miejska rozpoczęła ferye wakacyjne, a czcigodni ojcowie Krakusowego grodu porozjeżdżali się na wszystkie strony, aby wypocząć po trudach całorocznych. Na zakończenie uchwalili jeszcze reformę akcyzy miejskiej i sprawę zakupna pewnej liczby akcyi tramwajowych, co ma być pierwszym krokiem na drodze umiastowienia krakowskiej kolei elektrycznej. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że akcyza nie jest niczem tak strasznem, jak to opowiadano, skoro znalazł się jeden z członków Rady, który twierdził zupełnie stanowczo, że mieszkańcy gmin przyłączonych do Krakowa dopiero wtedy będą zupełnie szczęśliwi, gdy znajdą się w obrębie rogatek. Chodziło także i o to, co właściwie ma być obłożone podatkiem spożywczym: masło i ser, czy też słoma, siano i owies. Wychodząc z zasady, że w tych ciężkich czasach nie powinno się marnować pieniędzy na takie przysmaki jak masło, oświadczono się za jego opodatkowaniem, natomiast postanowiono uwolnić od opłaty słomę, siano i owies, rzekomo dla dogodzenia biedakom, którzy zwykle śpią na słomie. Konie fiakierskie, które wobec tego spodziewają się poprawy wiktu, uchwaliły wysłanie deputacyi z podziękowaniem do Rady miejskiej i referenta sprawy.

O ile jednak konie są zadowolone, o tyle ich władcy, to jest dorożkarze, czują się zaprowadzoną świeżo taryfą pokrzywdzonymi i podobno zgłosili już rekurs, który jednak nie powstrzymuje wejścia w życie ustawy. Należytość za jazdy w mieście podwyższono dość znacznie, natomiast ustanowiono taksę do miejscowości sąsiednich, a to się właśnie panom fiakrom nie podoba, przyzwyczaili się bowiem do zdzierania skóry żywcem z pasażerów, którzy niczem potulni barankowie, godzili się na to bez zastrzeżenia.

To są sensacye miejscowe, które zajmują nas w czasie ogórkowym, kiedy los kronikarza jest nader opłakanym, bo brakuje mu materyału, a tu, jak na złość, nikt nie chce ani karku skręcić, ani nikogo zabić! Czarna melancholia ogarnia człowieka przy zabieraniu się do pisania, radby sam coś takiego zmalować, co obudziłoby sensacyę, niestety obawia się, by przypadkiem nie wejść w kolizyę z ustawą karną, bo to nawet w tym sezonie nie jest bardzo przyjemnem. Kronikarze powinniby w czasie lata zastrajkować gremialnie, tak samo, jak to podobno mają zamiar uczynić Ojcowie Kapucyni, którym niepodoba się obostrzenie reguły. Niestety, większość kolegów po piórze oświadczyła się przeciw mojemu projektowi, i ja więc ulegam, aby dać przykład karności, której tak potrzeba w społeczeństwie.

Ze zmartwienia miałem już zamiar udać się z Zeppelinem balonem do bieguna północnego, zwrócono mi jednak uwagę, że nie wypada bratać się z Prusakami, którzy przecież ciągle dają się nam we znaki, choć *Kreuzzeitung*, główny organ hakatystów, zaczyna robić perskie oko do Polaków i twierdzi, że dotychczasowa polityka rządu wobec nas jest zupełnie bezcelową. Jest to urabianie nastroju przed przybyciem cesarza Wilhelma do Poznania, chodzi bowiem o to, aby i Polacy wzięli udział w przyjęciu i powitaniu, które będzie nader uroczyste, gdyż rada miasta uchwaliła trzydzieści tysięcy marek na ten cel. Prawdopodobnie cesarz przybędzie już w tej złoconej koszuli, która tyle furory narobiła w całym świecie.

Właściwie jednak podróż do bieguna północnego jest bezcelową. Jeżeli jest prawdą, że odkrył go już Peary lub Cook, to Zeppelin nic nowego nie znajdzi, chodzi chyba o to, aby zbadać dokładnie, który z nich pozostawił tam ślady, to jest, któremu należy się sława odkrywcy. Choćby zresztą Niemcy dotarli rzeczywiście do bieguna i naturalnie go zaanektowali, na bieg wypadków politycznych to nie wpłynie, co najwyżej będzie miał cesarz Wilhelm mieć sposobność do wygłoszenia jeszcze jednej mowy i osadzenia tam którego z swych synów w charakterze wielkorządcy.

Przyznam się, że wolałbym się raczej wybrać w podróż z metropolitą Szeptyckim lub towarzyszem Ignacym, którzy zamierzają urządzić misyjne wycieczki po Ameryce — jeden, żeby zamanifestować swą miłość do ludu ukraińskiego, drugi, by zilustrować szeregi partyi. Niestety, wybrać się z nimi nie mogę, na przeszkodzie stają mi bowiem czynności zawodowe, podeszły wiek, a co najważniejsza, zakaz żony, która boi się ogromnie, by w czasie podróży nie połknął mnie jaki wieloryb lub inna dzika bestya. Tłómaczyłem jej, że w myśl przysłowia „co ma wisieć nie utonie“, jestem zupełnie bezpiecznym na morzu, babina uparła się, jak jaki kardynał, wrzasnęła „veto!“ i huknęła tak silnie pięścią, dzięki Bogu tylko w stół, że dałem sobie spokój i siedzę spokojnie w Krakowie, ciesząc się, że przecież bodaj raz udało się nam mężczyznom przewyższyć liczbą niewiasty. Według ostatniego spisu ludności jest nas w Krakowie wraz z armią 78751, gdy tymczasem niewiast wraz z sufrażystkami tylko 78.500. Stare panny, a jest ich w naszym grodzie podobno przeszło ośmnaście tysięcy, uradowały się ogromnie, dowiedziawszy się o tem, szanse zamążpójścia poprawiły się bowiem bardzo wybitnie, a jeśli jeszcze uda się przeprowadzić ustawę o rozwodach, o co ubijają się socyaliści, będzie już prawdziwy raj na ziemi. Ja przyznam się w sekrecie, ale proszę mnie nie zdradzić przed żoną, bo gotowa awantura, gorsza niż wybuch prochowni w Woli Duchackiej, z rozwodów bardzo bym się ucieszył, trzydzieści lat pożycia małżeńskiego dało się już człowiekowi należycie we znaki i radby doczekać się jakiejś zmiany... *A propos* prochowni należy wspomnieć, że będziemy mieli jeszcze jedną pod Krakowem na gruntach bronowickich, wobec czego ułatwionem będzie dostanie się do Królestwa Niebieskiego. Wprawdzie odzywają się tu i ówdzie głosy protestu, założyła veto nawet Rada miejska, rząd nic sobie jednak z protestów nie robi, ale przeprowadza swe postanowienia z żelazną konsekwencyą, zwłaszcza, jeśli chodzi o wojskowość!

Przy tej sposobności, skoro już mówimy o wysokim rządzie, niech mi wolno będzie zwrócić uwagę naszej prasie, która tak rozpisywała się o owym rublu i pięciu kopiejkach, jakie były powodem tak długiej pisaniny urzędowej, że i u nas nie dzieje się inaczej. Dla lada głupstwa zapisuje się całe stosy bibuły, które potem idą do aktów i stanowią wyborny podkład do hodowli poprawnej rasy moli, pluskiew, karakonów i jak tam się jeszcze nazywają te potwory. Biurokratyzm austryacki znany jest w świecie i nikt i nic nie potrafi mu odebrać palmy pierwszeństwa, którą sobie od lat wielu wywalczył!

Aby dopełnić wiadomości z Krakowa, należy zanotować, że niegrzeczna policya zamknęła „pod Telegrafem“ rabina cudotwórcę z Rumunii, który przybył do Krakowa na gościnne występy, a sławny Putyra, uznany przez sąd lwowski za umysłowo chorego i uwolniony z więzienia, podążył natychmiast nad Wisłę i tu będzie dalej pracował w obranym zawodzie, dopóki znowu mu się noga nie powinie.

Że mięso podrożało już, a ma podrożeć jeszcze, o tem wszyscy wiedzą, najlepiej więc zostać wegetaryaninem i karmić się korzonkami, sianem i trawą, mięso bowiem wzbudza w człowieku złe instynkty, roślinny zaś pokarm przyczynia się do wydelikacenia uczuć, jak to możemy łatwo skonstatować na potulnych owieczkach i barankach, które przecież mięsa nie jedzą! Ciekawy jestem, coby powiedzieli panowie rzeźnicy, gdyby tak Kraków poszedł za przykładem Klosterneuburga i Kremsu, i ogłosił strajk mięsny? Z pewnością zmiękłaby im rura! Ale oni o to się nie boją, my na podobną odwagę nigdy się nie zdobędziemy.

Pokazało się także, że ów dowóz mięsa rumuńskiego do Austryi, który narobił tyle hałasu, był także niczem innem, jak czczą gadaniną. Rumunia produkuje bowiem tyle mięsa, ile go sama potrzebuje, jeśliby chciała więc eksportować, sama nie będzie miała co jeść, a ceny mięsa ogromnie się podniosą, na co znów rząd tamtejszy zgodzić się nie może. Mogą więc panowie rzeźnicy i ich protektorowie, agraryusze i ludowcy, spać spokojnie i z tej strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Są to bezwarunkowo najszczęśliwsi ludzie pod słońcem, wszystko udaje im się, nie tak, jak nam biedakom.

Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie wspomniał o telefonach, które każdemu z nas dają się tak we znaki. Sprzyjający ludowi wysoki rząd, aby dać znów dowód życzliwości, podwyższył taryfę za rozmowy i wydał nowy regulamin, naturalnie na niekorzyść publiczności. U nas jednak dzieje się tak od lat wielu. Przyzwyczailiśmy się do tego i nic sobie z tego nie robimy! Zresztą obchodzili się bez telefonów nasi dziadkowie, to i my damy sobie bez nich radę.

Doniosły pisma codzienne, że w szkołach średnich austryackich zaprowadzoną będzie nadobowiązkowo nauka strzelania pod kierunkiem oficerów. Ma to być pierwszym krokiem do zredukowania lat służby wojskowej z trzech na dwa. Mój Boże! — pomyślałem sobie i westchnąłem z głębi serca — jak to zmieniają się czasy, a ludzie z nimi. Nie tak dawno, jak starzy pedagogowie grozili wszelkiemi karami piekielnemi i wiecznem potępieniem każdemu uczniowi, który chodził na ślizgawkę, na tego zaś, który chodził na tańce, nikt nawet nie spojrzał, uważał go bowiem za zepsutego do szpiku kości... Napychano nam głowy wyjątkami i innemi rzeczami, które tak były potrzebne w życiu, jak psu piąta noga, a jednak z tych czasów pochodzą ludzie najdzielniejsi! Dziś okrojono materyał naukowy w ten sposób, że zaledwie trzecia część z niego pozostała, ułatwiono egzamin dojrzałości, zaprowadza się w szkole zabawy, gry i sporty, które mają takie znaczenie dla zdrowia, a jednak, jakże dzisiejsza młodzież różni się od dawnej! Dawna tryskała życiem i rwała się do pracy, dziś piętnastoletni młodzian wygląda zblazowany i zniechęcony, prawdziwy starzec, w młodem ciele. Kto zaś temu winien? Sposób wychowania, który usuwa z przed ucznia wszelkie trudności, aby, broń Boże, nie wytężył się zanadto, i uczy go bawić się, a nie pracować!

Nie jestem wcale przeciwnikiem dzisiejszego postępowego systemu w szkołach, owszem, w niektórych punktach przyznaję mu zupełną racyę, wolałbym jednak, aby większy nacisk kładziono na zaprawienie młodzieńca do przyszłych trudów życiowych, a tylko sumienna i ciężka praca może się do tego przyczynić. Kto wesoło i swobodnie, bez trudów i wysiłków przejdzie młode lata, sądzi, że i w późniejszem życiu będzie tak samo, zawodzi się jednak i zniechęca.

Wprowadzenie projektowanej przez ministra oświaty Stürghka autonomii do szkół średnich, na mocy której uczniowie wybieraliby z pomiędzy siebie swych dostojników, uważam za zupełnie nie na miejscu, odrywa bowiem uczniów niepotrzebnie od ich zajęć, a rzuca w wir politykowania i agitacyi, na czem już niejeden kark skręcił i teraz, kiedy jest po niewczasie, płacze i narzeka. Całe nasze społeczeństwo jest do ostatecznych granic rozpolitykowane, młodzież przynajmniej powinna się trzymać od tego zdała. Takie wprowadzenie autonomii, połączone z wyborami i nieodzowną w tym wypadku agitacyą, odrywa uczniów od zajęcia się nauką, wytwarza pomiędzy nimi waśnie i kwasy, słowem, co musi się wybaczyć starszym, na to nie powinno się pozwalać młodzieży, na której spoczywa cała nasza nadzieja na przyszłość!

Jakie zaś korzyści mamy z ciągłego politykowania, to widzimy dziś na narodowych demokratach w Galicyi, którzy stosunkowo najbardziej są ruchliwi, ale też za to ciągle się kłócą ze wszystkiemi stronnictwami i wzajemnie między sobą, skutkiem czego sami się między sobą osłabiają. Ostatecznym ciosem dla całego wszechpolskiego stronnictwa, a głównie dla jego reprezentacyi w Kole polskiem, jest wykreślenie posła Germana z jego szeregów. Poseł German nie pozostanie sam, połączy się z nim z pewnością kilku innych posłów, którzy mają w parlamencie wielkie wzięcie. Jest to niezbity dowód, że Koło polskie nie trzyma się kupy, jakby powinno, i że narodowa demokracya chciałaby ująć za łby wszystkie inne stronnictwa, co się jej jednak dotąd nie udało.

X

Nauczycielskie wakacye.

(Do illustracyi na str. 4).

Nauczyciele szkół ludowych cieszą się szczególnym „przywilejem", że ćwiczenia wojskowe odbywają nie jak inni obywatele austryaccy, obowiązani do służby wojskowej, t. j. w każdej porze roku, lecz specyalnie podczas feryi szkolnych, zatem w czasie, który służyć im powinien właściwie do odpoczynku po całorocznych trudach i wysiłkach.



Postęp awiatyki: Ważenie pasażerów przed podróżą.

Każdy korpus armii liczy rok rocznie całe mnóstwo tych sympatycznych pracowników oświatowych. Zamiast wytchnąć, zamiast odpocząć, muszą dźwigać mundur i „ćwiczyć".

Dotychczas bywali nauczyciele zwyczajnymi szeregowcami piechoty i nie cieszyli się żadnymi względami. Dopiero począwszy od roku bieżącego przyznało im ministerstwo wojny tę ulgę, że czas ćwiczeń mogą spędzić w służbie manipulacyjnej a nawet awansować do rangi plutonowego.

Nauczyciele, ćwiczący w korpusie przemyskim, postanowili ostatni dzień służby wedle „starego systemu" t. j. po ćwiczeniach polowych, upamiętnić wspólnem koleżeńskiem zdjęciem fotograficznem, którego reprodukcyę dziś zamieszczamy.

Ujęcie mordercy.

(Do illustracyi na str. 4).

Jedną z największych sensacyi ostatnich czasów jest ucieczka i ujęcie lekarza londyńskiego dra Crippena, obwinionego o zamordowanie swej żony i jakiejś drugiej kobiety.

W dniu 14. lipca b. r. w mieszkaniu dra Crippena w wąskiej uliczce robotniczej dzielnicy Londynu, Camden Road, wykopano w piwnicy dwa szkielety. Właściciela domu nie było podówczas w Londynie, zniknął w tajemniczy sposób z swą przyjaciółką, pisarką na maszynie, miss Neve. Zrodziło się podejrzenie, że nieobecny lekarz jest podwójnym mordercą.

Policya rozpoczęła poszukiwania, które początkowo natrafiały na ogromne trudności, wszelki ślad lekarza i jego towarzyszki zginął zupełnie. Wreszcie dowiedziano się, że Crippen przed wyjazdem kupował w jednym z magazynów na Oxford Street ubranie dla chłopca, przypuszczano więc, że panna Neve towarzyszy doktorowi w tem przebraniu i w tym też kierunku rozwinięto dochodzenia. Z różnych stron nadchodziły najsprzeczniejsze wiadomości, Crippena i jego przyjaciółkę miano widzieć równocześnie w Holandyi, Belgii, Francyi i Hiszpanii.

Dopiero w dziesięć dni po wykryciu morderstwa doniesiono policyi londyńskiej za pomocą telegrafu bez drutu, że na pokładzie okrętu *Montrose*, który płynął z Antwerpii do Kanady, znajduje się niejaki pan Robinson z synem, bardzo podobny do poszukiwanego Crippena.

Wysłano natychmiast inspektora Dewa, który na parowcu pospiesznym popłynął do Kanady, aby aresztować domniemanego mordercę. Przez cały czas pozostawały oba okręty w ciągłem porozumieniu między sobą i z lądem stałym zapomocą telegrafu bez drutu.

Dew przybył na dwa dni przed wylądowaniem rzekomego Robinsona do Father Point. W oznaczonym czasie wpłynął do portu okręt *Montrose*, a na jego pokładzie znajdował się poszukiwany Crippen wraz z przebraną w suknie męskie panną Neve.

Nie przypuszczając, że trafiono na właściwy ślad, zupełnie spokojnie przygotowywał się do wylądowania. Gdy znalazł się na mostku okrętowym, Dew wraz z ajentami kanadyjskimi otoczył ich i aresztował. Crippenowi założono natychmiast kajdanki. Na ten widok panna Neve zemdlała.



Postęp awiatyki: Aeroplan z pilotem i dwoma pasażerkami.

Crippen wypiera się popełnienia zbrodni, twierdząc ciągle, że żona jego przebywa gdzieś w Ameryce.

Wiadomość o aresztowaniu mordercy rozeszła się po Londynie w setkach tysięcy nadzwyczajnych wydań dzienników, redakcye obwieściły ją także zapomocą elektrycznych reflektorów.



W czterdzieści lat po maturze: Maturzyści gimnazyum św. Jacka w Krakowie w r. 1870. 1. Ignacy Sopiński; 2. Wojciech Siedlecki; 3. Władysław Staniszewski; 4. Tadeusz Skrzyszowski; 5. Jan Byrnas.

Zgon zasłużonego działacza śląskiego.

Sprawa narodowa na Śląsku poniosła ciężką, bolesną stratę przez tragiczny zgon śp. Adama Sikory, jednego z najdzielniejszych obywateli i działaczów polskich w Cieszyńskiem.

Sp. Sikora był dyrektorem kasy zaliczkowej w Cieszynie i członkiem zarządu głównego Towarzystwa



Zgon zasłużonego działacza śląskiego: Ś. p. Adam Sikora.

oszczędności i zaliczek. Poza działalnością zawodową był on czynny na wszystkich polach pracy narodowo-społecznej i zaskarbił sobie ogólny mir z powodu niezwykłych istotuie zalet serca i umysłu. Nie było ważniejszej sprawy na Śląsku, dotyczącej życia polskiego, do którejby śp. Sikora ręki nie przyłożył. Nad wszystkiem zaś jaśniała jego nadzwyczajna, bezgraniczna niemal ofiarność na cele narodowe i publiczne. Każde towarzystwo polskie o celach oświatowych i humanitarnych liczyło go w poczet swoich czynnych i ofiarnych członków. Najhojniejszym darem śp. Sikory, to ofiarowany niedawno na rzecz „Macierzy szkolnej" na Śląsku park wspaniały, nazwany jego imieniem.

Sp. Sikora zmarł w ubiegłym tygodniu nagle w Budapeszcie, odebrawszy sobie życie wskutek rozstroju nerwowego. Wiadomość o jego śmierci wywołała na całym Śląsku przygnębiające wrażenie. Zwłoki zmarłego przewiezione zostaną do Cieszyna.

Cześć Jego pamięci!



Życie towarzyskie na prowincyi: Panna Rybakówna i pani Thalowa z Tarnopola w rolach z przedstawienia na dochód tamtejszego Koła Panien.

W czterdzieści lat po maturze.

Wśród wielu zjazdów koleżeńskich, jakie odbywają się corocznie w Krakowie, na szczególną zasłużył uwagę zjazd byłych uczniów gimnazyum św. Jacka w Krakowie, tych uczniów, którzy ukończyli je przed laty czterdziestu.

Zjechało się ich tylko pięciu: ks. prałat Siedlecki, emerytowany pułkownik Byrnas, emerytowany radca rządu dr. I. Sopiński, emerytowany nadradca budownictwa Skrzyszowski i lekarz dr. Staniszewski. Przybyło ich tak niewielu, gdyż ogółem z 40 maturzystów z 1870 r. żyje dotąd zaledwie 10, a z tych połowa bądź z powodu choroby, bądź z powodu innych przeszkód przybyć nie mogła na zjazd.

Szczupłe grono maturzystów-jubilatów zebrało się naprzód w kościele OO. Dominikanów, gdzie kolega ks. prałat Siedlecki odprawił mszę św., poczem udali się wszyscy do zakładu, w którego murach kształcili się jako młodzi chłopcy. Tam w jednej z sal odczytali katalogi z czasów, kiedy byli uczniami, a następnie każdy z uczestników podał w krótkości swoje „curriculum vitae".

Na zakończenie odbyło się skromne wspólne śniadanie, w czasie którego wspominano wesołe chwile młodości. Po śniadaniu udali się jubilaci w odwiedziny do jedynego żyjącego dziś profesora swego, emerytowanego dyrektora Siedleckiego, który z powodu słabości nie mógł wziąć udziału w zebraniu byłych swych uczniów.

Z okazyi tego wyjątkowego zjazdu zamieszczamy dziś dwa zdjęcia fotograficzne, z których jedno przedstawia grono maturzystów bezpośrednio po egzaminie, drugie zaś pięciu uczestników zjazdu w 40 rocznicę egzaminu.



W czterdzieści lat po maturze: Uczestnicy zjazdu maturzystów z przed 40 lat. Siedzą od lewej ku prawej: emer. radca rządu dr. Ignacy Sopiński, ks. prałat Wojciech Siedlecki i dr. Władysław Staniszewski; stoją od lewej ku prawej: emer. nadradca budownictwa Tadeusz Skrzyszowski i emer. pułkownik Jan Byrnas.

Najdłuższy most kolejowy.

Oczywiście w Ameryce! Przywykliśmy już do tego, że wszelkie nadzwyczajności, wszelkie cuda nowoczesnej techniki, doprowadzane bywają w Ameryce do szczytu rozwoju, do granic ostatecznych możliwości i niemożliwości.

Jednym z takich cudów techniki jest nowy zupełnie, niedawno wybudowany i do użytku oddany most na przesmyku Albemarle w północnej

Carolinie w Stanach Zjednoczonych. Rycina nasza daje wcale dobre wyobrażenie o olbrzymiej wprost długości tego mostu, końca jego bowiem z trudnością tylko dopatrzeć się można.

Koszta budowy tego olbrzyma były też olbrzymie, jak gdyby zastosowane do rozmiarów mostu. I to także tylko w Ameryce możliwe, gdzie o pieniądze łatwiej niż w starej Europie.



Rozłam wśród demokracyi narodowej: Poseł dr. Ludomił German.

Życie towarzyskie na prowincyi.

Życie na prowincyi staje się dzięki rozmaitym instytucyom i poszczególnym jednostkom coraz bardziej ruchliwem. Dawna apatya i ospałość ustępują jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stosunki towarzyskie poprawiają się coraz widoczniej.

Jedną z takich instytucyi, przyczyniających się do rozbudzenia życia towarzyskiego i ruchu umysłowego na prowincyi, jest zostające pod przewodnictwem panny Rybakówny *„Koło Panien Polek“* w Tarnopolu. Niestrudzona kierowniczka zajmuje się bardzo energicznie jego sprawami i za jej głównie staraniem odbyło się przedstawienie melodyjnej operetki Offenbacha: „Wesele przy latarniach“, na dochód Koła. Wykonanie nie pozostawiało nic do życzenia, amatorowie i amatorki wywiązali się z zadania w sposób nader chwalebny, to też zyskali zupełne uznanie bardzo licznie zebranej publiczności. Każdy najdrobniejszy szczegół był starannie wystudyowany, skutkiem czego tercety i kwartety, wymagające właśnie subtelności, przy pięknych głosach pań Rybakówny, Thalowej i Romaszkanówny, oraz pana Solarskiego, wypadły znakomicie. Kulminacyjnym punktem był duet dwu kumoszek. Obie amatorki, panna Rybakówna i pani Thalowa, grą i głosem zachwycały zebranych. Byłbyś przysiągł, że to zawodowe artystki, nie amatorki.

Panna Rybakówna od najmłodszych lat życia poświęca się śpiewowi. Początkowo kształciła się w Krakowie, później w Berlinie i u pani Kamilowej we Lwowie. Obecnie mieszka stale w Tarnopolu i utrzymuje tam koncesyonowaną przez namiestnictwo szkołę śpiewu. Jako przewodnicząca ruchliwego Koła Panien urządza panna Rybakówna bardzo często wieczorki muzykalno-wokalne na cele dobroczynne. Cieszą się one zawsze zasłużonem uznaniem.

Rozłam wśród demokracyi narodowej.

Najmłodsze w Galicyi stronnictwo polityczne, demokracya narodowa czyli wszechpolacy, stronnictwo, które dzięki ruchliwości i energii swych przywódców potrafiło w krótkim stosunkowo czasie wybić się na czoło wszystkich demokratycznych stronnictw galicyjskich, objawia od pewnego czasu znaczne rozprzężenie, które może się smutno na przyszłości tego stronnictwa odbić.

Obecnie stanowi sensacyę polityczną fakt wykluczenia posła dr. Germana z grona członków stronnictwa. Wykluczenie nastąpiło z tego powodu, że dr. German, niezgadzający się z radykalną taktyką przywódców stronnictwa, nawiązał rokowania z podobnie myślącymi członkami klubu wszechpolskiego, oraz członkami innych stronnictw demokratycznych w sprawie zawiązania nowego stronnictwa,— stronnictwa pozytywnej pracy, że jednak przedtem nie zgłosił swego wystąpienia z partyi wszechpolskiej.

Fakt ten rozgłosiło prezydyum demokracyi narodowej w obszernych komunikatach, które są obecnie są tematem roztrząsań we wszystkich prawie dziennikach. Zerwanie przez stronnictwo wszechpolskie stosunków z posłem dr. Germanem jest tem dziwniejsze i tem większą stanowi sensacyę, że do niedawna panowała między nimi jak najpiękniejsza harmonia i zgoda, a dr. German był prezesem parlamentarnego klubu posłów demokratyczno-narodowych w radzie państwa w Wiedniu. Godność tę złożył przed paru miesiącami, gdy zjazd członków stronnictwa, we Lwowie odbyty, zażądał od klubu kategorycznego i bezwzględnego zwalczania obu naczelników władz krajowych w Galicyi. Poseł German na taką taktykę klubu zgodzić się nie chciał i złożył przewodnictwo.

Zdaje się, że rozłam wśród demokracyi narodowej nie skończy się na wystąpieniu dr. Germana i kilku innych posłów, lecz że przybierze szersze rozmiary.



Jadwiga Lachowska.

Jadwiga Lachowska.

Po kilkumiesięcznych studyach wokalnych we Włoszech, głównie w Medyolanie, wystąpiła znowu na scenie teatru krakowskiego sympatyczna mezzosopranistka lwowskiej opery, panna Jadwiga Lachowska, znana krakowskiej publiczności z dwu poprzednich sezonów operowych.

Znana i ceniona jako jedna z najbardziej utalentowanych i rzeczywiście najlepszych sił operowej trupy lwowskiej. Wszystkie jej dotychczasowe występy wieńczył nadzwyczajny sukces artystyczny. Ale bo też nie często spotkać można tak idealne zespolenie warunków, jak właśnie u p. Lachowskiej. Prześliczny głos, pełen metalicznego dźwięku, donośny, miły, ustawiony znakomicie, nadzwyczajna muzykalność, wielkie zdolności aktorskie, a wreszcie ogromnie piękna, sympatyczna i ujmująca powierzchowność, oto warunki, w jakie uzbrojona sięga młodziutka śpiewaczka po laury. I zdobywa je w szybkiem tempie. Z roku na rok widzi się niepospolicie piękny postęp i rozwój tego nadzwyczajnego talentu.

Ostatnią nową kreacyą p. Lachowskiej była rola tytułowa w operze Thomasa „Mignon“. Jak z góry można było przewidzieć, wywiązała się z niej utalentowana artystka znakomicie. Dała postać żywą, pełną liryzmu szczerego i szczerego wdzięku. Głosowo usposobiona doskonale, śpiewała bardzo pięknie, wywołując oklaski i brawa przy otwartej scenie.

Z dawnych ról, znanych z występów w poprzednich sezonach, kreowała p. Lachowska „Carmen“, Suzuki w „Madame Butterfly“, Siebla w „Fauście“.

„Carmen“ należeć będzie z pewnością zawsze do popisowych partyi tej śpiewaczki, zwłaszcza że repertuar mezzosopranistek jest dość ograniczony.



Nowa fabryka w Galicyi: Zwożenie materyałów budowlanych własnym torem kolejowym.

O kreacyi tej pisaliśmy już dwukrotnie, zbyteczne więc byłoby powtarzać te same pochwały.

Wspomnieć jeszcze należy o występie p. Lachowskiej w partyi Siebla, w partyi drugoplanowej, która jednak, dzięki ogromnie artystycznemu ujęciu i doskonałemu wykonaniu, skupiła na sobie uwagę wszystkich widzów. I to jest jednym z dowodów wielkiego talentu p. Lachowskiej, że nawet w małych, niewdzięcznych rólkach wysuwa się na czoło ansamblu. Cieszyć się też należy, że dyrekcya teatru lwowskiego umiała ją zatrzymać na sezon operowy w teatrze lwowskim.

Nowa fabryka w Galicyi.

Przed kilku dniami czytaliśmy w dziennikach artykuł o gorączkowym ruchu budowlanym, jaki panuje w pobliskiem miasteczku Skawinie. Chodzi tu o budowę fabryki firmy Henryka Francka Synowie, której wyroby „prawdziwa (Francka) przymieszka do kawy z Młynkiem do kawy“, przez wzgląd na ich osobliwie wyśmienitą jakość, są zapewne znane wszystkim naszym gosposiom.

Zadaliśmy sobie trudu, ażeby zbadać prawdziwość podań naszych dzienników i z przyjemnością możemy stwierdzić, że w wypadku tym nasze czasopisma otrzymały bardzo dobre informacye. Wspomniany ruch budowlany jest tak ciekawy, że nie mogliśmy się powstrzymać, ażeby naszym Szanownym Czytelnikom nie pokazać kilku zdjęć tej fabryki, która w stosunkowo krótkim czasie, bo zaledwie w dwóch miesiącach, została wybudowana. Chodzi tu rzeczywiście o amerykańskie przedsięwzięcie! Przeszło 500 robotników jest obecnie zajętych przy tej budowie, w tem 400 naszych rodaków, z których każdy zarabia piękny grosz.

Skawińska fabryka tej firmy ma dla naszego kraju nieocenione znaczenie, ponieważ wielka ilość naszych robotników znajdzie w niej cały rok dobrze płatne zatrudnienie, zaś daleko większe korzyści przypadną w udziale naszemu rolnictwu, które, gdy weźmie się do racyonalnej uprawy korzenia cykoryi, będzie w stanie podnieść znacznie dochody z pól.

Osobliwie, a co z przyjemnością podnieść musimy i za co na tem miejscu składamy wyrazy uznania naszym rolnikom, uprawa ta rozwija się bardzo dobrze w okolicy, położonej na północ od Krakowa, gdzie już od 4 lat uprawiają dla tej firmy korzenie cykoryi i to ze wzrastającymi wynikami. Słaby był stan naszych pól i dlatego też mierne wynagrodzenie siły roboczej, lecz obecnie, ze względu na piękne dochody, jakie dają pola cykoryowe rolnikom, nastąpi bez wątpienia i zmiana stosunków, producenci bowiem cykoryi, będą mogli wynagradzać robotników, zajętych przy tej uprawie, w taki sposób, że ci nie będą potrzebowali porzucać rok rocznie masowo własnego kraju, by poza granicami szukać lepszych warunków pracy. Teraz tysiące tych dzielnych ludzi, którzy poza granicami kraju cieszą się opinią dobrych i rzetelnych pracowników, będą mogli pozostać w kraju, przy uprawie korzenia cykoryi. Byłoby na czasie, gdyby miarodajne koła, jak również i interesowane czynniki nie tylko wzięły tę sprawę pod rozwagę, lecz także, ażeby stosownie do okoliczności, przedsięwzięły odpowiednie kroki.

kawy. Podług dostarczonych nam informacyj, jest ona — właściwie użyta—nie tylko wybornym środkiem *poprawiającym*, ponieważ prawie paraliżuje kofeinę zawartą w kawie, lecz co więcej, podnosi poszukiwaną złotawo-brunatną barwę i wzmacnia znacznie przyjemny aromat i gorzki smak kawy ziarnistej. Z tego też powodu nie powinno jej brakować w żadnej, nawet najwykwintniejszej kuchni, a również i tam powinna być używaną jako co-



Nowa fabryka w Galicyi: Najważniejsze budynki powstającej fabryki.

Nasze Szanowne Panie muszą też wiedzieć, że ta, wszędzie tak lubiana „prawdziwa (Francka) przymieszka do kawy z Młynkiem do kawy“ już wkrótce będzie wyrabiana z krajowego surowca i przez krajowych robotników. Jakie to na nas wkłada moralne obowiązki, o tem zdaje się nie potrzebujemy tutaj specyalnie wspominać.

Przy tej sposobności pozwalamy sobie zwrócić uwagę, na osobliwie ważną sprawę. Mniemanie, że przymieszki do kawy są tylko środkami zmniejszającymi wydatki, znalazło bardzo wielu zwolenników. Takie zapatrywanie, gdy się weźmie pod uwagę wiele lichych marek, istniejących w tej gałęzi przemysłu, jest całkiem usprawiedliwione, lecz nie może dotyczyć jakości Francka przymieszki do dzienna przyprawa. Odnosi się to także i do krajów, gdzie znajdują się plantacye kawy, a fakt ten mówi sam za siebie i przekona z pewnością wszystkich, którzy niedoceniają dostatecznie przymieszki do kawy, że postępują błędnie, nie używając dotąd jeszcze rzeczywiście dobrej przymieszki do kawy. W krajach, gdzie plantacye kawy stoją w najwyższym rozkwicie, mieszkańcy nie mają powodu zmniejszać wydatków na i tak już bardzo tanią kawę ziarnistą, a tylko chęć jakościowego polepszenia napoju kawowego powoduje ich do używania Francka przymieszek, które przez wzgląd na cło i koszta przewozowe, są w tych krajach daleko droższe od kawy ziarnistej, a to znaczy wiele.



Nowa fabryka w Galicyi: Ogólny widok budującej się fabryki.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

Arytmograf:

U p a
M o r e a
M o r a w i a
C z e r w c z y k
M e z o p o t a m i a
N o w a w a l i a
O r d y n a t
P a w e ł
C ł o
G a j
B a s z a
B u c z a c z
H o r a c y u s z
J a r a c z e w s k a
A g a m e m n o n
P ł a n e t a
M n i c h
R a k

Szarada: Jagody.

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Logogryf:

C h m u r a
H u t n i k
O r g a n y
P a r n a s
I n t r u z
N a j a d a

Szarada: Przeznaczenie.

Zgłoskówka: Bez pracy niema kołaczy.

Rebus: Coraz więcej dzieje się rzeczy takich na świecie, o których ani śnili nasi ojcowie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Antosz Jarosław, B. Nowak Krosno, J. Barnat Kraków, H. Cegielska Inowrocław, J. Arzt Warszawa, H. Pick Łódź, M. Ligięzianka Rzeszów, K. Borówka Janów, S. Ryglicki Kraków, M. Gralewska Kraków, O. Górkowa Chyrów, K. Błażowski Lwów, M. Planecka Białka, F. Gebhardt Białka, S. Łopatkiewicz Kraków, R. Stanisławski Babica, T. Tuszyński Rozwadów, J. Wang Rozwadów, H. Engelberg Rzeszów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, O. Balicki Sanok, M. Grocholska Lwów, J. Adamkiewicz Stanisławów, R. Kalinowski Kraków, S. Cybulski Poznań, K. Kinalski Charzewice, J. Scholz Kraków, M. Radzińska Podgórze, S. Berantowicz Lisko, K. Lindarski Tarnobrzeg, J. Grodecka Ulanów, H. Hirsch Nisko, J. Świderski Czerniowce, W. Thun Płock, M. Zabawska Warszawa, R. Lichański Mińsk, W. Ostrowski Sandomierz, M. Dropiowska Sandomierz, K. Trepka Radom, S. Krzyżanowski Podgórze, K. Solecki Janów, M. Kopystyńska Trembowla, H. Maresz Lwów, J. Topolnicki Kołomyja, K. Cielecki Zakopane, W. Pankowska Zakopane, M. Więckowska Warszawa, J. Urnski Janów, K. Dębiński Jasło, S. Matnsiński Zakopane, H. Medyńska Chrzanów, K. Karpiński Dynów, M. Kaniewska Lwów, W. Bryginowicz Tarnobrzeg, K. Dwernicki Złoczów, J. Olknszewski Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, J. Obst Brody, W. Topolnicki Kamieniec, J. Pammer Sanok, W. Rybczyński Odessa, H. Ciszewski Wiedeń, M. Lipska Łódź, S. Stamisowski Jordanów, H. Christ Wiedeń, M. Jasińska Zakopane, J. Żebrowski Lwów, J. Jahoda Cieszyn, B. Tabaczyński Lwów, J. Baranowski Lwów, M. Sadowska Kraków, J. Wyka Stryj, H. Zachara Stanisławów, J. Kahi Jaremcze, K. Poluszyński Zabłotów, T. Radziszewska Kraków, W. Stelmach Oświęcim, F. Horak Kraków, J. Nikiel Jasło, K. Turecka Tarnopol, A. Rotter Stanisławów, K. Kruszyński Rudniki, J. Badura Rożdzień, S. Faliszewski Baligród, J. i W. Czeppéowie Tarnobrzeg, A. Bocsoń Bóbrka, M. Markiewicz Uście Solne, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Budzianowska Matyjowce, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Badura, Rożdzień.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

19

Przy ostatniem zdaniu Piotra Ludwika cofnęła się bezwiednie w tył. Nadzieja, której z początku doznała, mieszała się teraz z rozpaczą. Tak, uznają bez wątpienia, że stała się ofiarą jakiejś intrygi, lecz narazie stoi przed swym ukochanym, jak oskarżona.

Widać było, jak Piotr drży z niepewności; był on sędzią, którego męczy żal i niepokój, lecz w każdym razie sędzią, który przyszedł do badania jej. To było nie do zniesienia dla młodej panny.

Piotr tymczasem ciągnął dalej:

— Błagam cię, powiedz nam, jeżeli wiesz cośkolwiek...

— Dosyć, panie! — przerwała z boleścią Ludwika.

Każde słowo Piotra było dla niej bolesnem doświadczeniem. Drżała z przejęcia na myśl, że od tego śledztwa zależy jej honor i szczęście. Nie mogła jednak słuchać tego dłużej. Podobna rozmowa z ukochanym była dla niej najstraszniejszą rzeczą, o jakiej mogła myśleć. Tak się kochali! Tak sobie wzajemnie ufali! A teraz on chce dowodów mających wykazać intrygę, której stała się ofiarą? Nie! To byłoby profanacyą ich dawnej miłości! Obecnie mogą przebaczyć sobie wszystko wśród łez, albo też rozejść się w milczeniu. Nie tylko uczucie jej cierpiało. Dotkniętą była i w swej dumie kobiecej. Ludwika była bardzo łagodną, lecz zarazem i nieprzystępnie dumną. Pierwszą jej myślą obecnie było usunąć się od tego, kto jej nie dowierzał. Wszelkie zaprzeczenia, wszelkie starania wykazania niesprawiedliwości rzuconego na nią podejrzenia, uważała za własne poniżenie. I gdyby taki dowód można było dać jednem słowem! Lecz to było niemożliwem! Jeżeliby jednak stanęła przed obcym człowiekiem, przed jakim urzędnikiem, któremu powierzono wyjaśnienie tej sprawy, wtedy możeby mówiła, możeby się broniła. Tłómaczyć się jednak przed Piotrem było to ponad jej siły.

— Dosyć! — powtórzyła. — Proszę o to!

— Cierpisz? — zapytał młody człowiek. — I ja również. Mimo to nalegam dalej... Ten Karol Turner...

— Nic nie mogę panu powiedzieć o Karolu Turnerze — przerwała Ludwika. — Nawet w rozmowie nie słyszałam nigdy o kimś, któryby się tak nazywał... Po raz pierwszy widziałam to nazwisko na listach, o których pan wie...

— Więc go nie znasz zupełnie?

— Zupełnie.

— Starałaś się wytłómaczyć sobie obecność tych tajemniczych listów w swem pudełku?

— Tak, starałam się, lecz bez skutku.

— I nie możesz wyjaśnić zachowania tego człowieka?

— Jakiego człowieka?

— Karola Turnera.

— Jakież zachowanie?

— Wielbiciela, który czuje się w prawie bronienia ciebie.

— Nic nie rozumiem... — szepła Ludwika.

— Pan Turner w czasie rozmowy o tobie przyjmuje zakłopotaną minę, zmienia temat rozmowy, a w potrzebie żąda, by nie wymieniano twego imienia.

— Pan więc widział Karola Turnera? — zdziwiła się młoda panna.

Mimo chęci przerwania tej indagacyi, zaczęła jednak sama zadawać pytania.

— Bez wątpienia! — odparł Piotr. — Przed chwilą pojedynkowałem się z nim!

— Pojedynkował się pan z nim?... — powtórzyła szeptem przerażona Ludwika.

Ta fantastyczna postać stawała się więc rzeczywistością i nastawała na życie tych, których ona kochała. Myśli jej gmatwały się. Potarła sobie ręką czoło.

Piotr Cartelegue mówił dalej.

— Postanowiliśmy więc, Ludwiko, uczynić wszystko możliwe i niemożliwe, by ciebie oczyścić.. Ja przyszedłem do ciebie z prośbą, byś była nam pomocną.. Czy masz jakie wyrobione zdanie o tem wszystkiem?... Może jaką hypotezę nam poddasz?... Może dasz nam jaką pożyteczną wskazówkę?

Młoda panna potrząsła głową. Wiadomości, jakie jej przyniósł Piotr, zaciemniały jeszcze bardziej tę straszną tajemnicę, z którą naprôżno walczył jej rozum. A przytem to bolesne sam na sam już za długo trwało. Uczucie jej, jak i myśl już omdlewało.

— Nie masz nic do powiedzenia? — nalegał młody człowiek.

— Nic — odpowiedziała.

I z przymkniętemi oczami, z twarzą opuszczoną na dół, poszła przez korytarz. Piotr usunął się, by ją przepuścić. Doszła wreszcie do drzwi swego pokoiku i w nich znikła.

Młody człowiek przez chwilę pozostał nieruchomy. Potem schwycił się nagle rękami za skronie, jęknął boleśnie i skierował się na schody, po których zaczął schodzić ciężkim krokiem. O pół do pierwszej był w fabryce swego ojca i biorąc samochód, polecił urzędnikom w biurze:

— Jeżeli pan Maixent będzie się pytał o mnie, proszę powiedzieć, że będę u niego tak jak przyrzekłem o piątej godzinie.

Potem ruszył szybko naprzód samochodem bez żadnego celu, by w szybkiej jeździe zapomnieć o trapiących go myślach.

Biła piąta godzina, gdy pokryty błotem wchodził do skromnego pokoju miliardera.

— I cóż? — usłyszał zapytanie. — Co przynosisz mi ciekawego?

Piotr odpowiedział na to zniechęconem wzruszeniem ramion.

— Nie widziałeś więc panny Dubois? — pytał dalej Amerykanin.

— Owszem... Lecz nic mi prawie nie powiedziała...

I młody człowiek opowiedział spotkanie swe z Ludwiką.

— *Well!* — odrzekł Lewis Jackson. — Moje śledztwo lepiej się udało... Byłem naprzód w biurze poczty przy ulicy Bayen, by zobaczyć, czy nie można czego wyciągnąć od urzędnika, zajętego listami poste-restante... Na ogół nie spodziewałem się żadnej tutaj zdobyczy... Urzędnik ten musiałby mieć niezwykłą pamięć, by przypomnieć sobie osobę, która przychodziła po listy adresowane L. D... Tyle ludzi przesuwa się przed jego okienkiem, na które on nic zwraca najmniejszej uwagi... Na szczęście jednak przypomniał sobie i te listy i tę osobę, która jednak miała na twarzy tak gęstą woalkę, iż nie mógł rozróżnić jej rysów...

Lewis Jackson nie wspomniał tu wcale, iż to zbieranie wiadomości kosztowało go porządną sumę pieniędzy.

Urzędnik na pierwsze zadane sobie pytanie przyjął miliardera bardzo ostro, tłómacząc się obowiązkową w swym fachu tajemnicą. Lewis jednak na razie nie nalegał, lecz czekał na niego przy wyjściu i wtedy zdobył go we dwie minuty po amerykańsku. Zdumiony urzędnik oszołomiony grubym pakietem banknotów, które mu wsunięto siłą do kieszeni, uznał się za zwyciężonego i powiedział, co wiedział, choć było to bardzo mało.

— Potem — mówił dalej Lewis Jackson — udałem się do tego pałacyku przy ulicy Godot-de-Maurry, w którym Karol Turner naznaczał rendez-vous Ludwice Dubois... Badałem stróżkę, służącego i pokojówkę... Jak i urzędnik z poczty nie widzieli oni wcale twarzy przychodzącej damy.. Nigdy nie podnosiła woalki w ich obecności... Znali jednak jej postać i ruchy, na które urzędnik nie zwracał żadnej uwagi... Posłałem więc ich na ulicę Laugier, by sprawdzili, czy taką właśnie postać i ruchy ma panna Dubois... Tutaj mają przyjść dać mi odpowiedź... Już idą!

Zapukano do drzwi.

Miliarder jednak mylił się. Do pokoju wszedł Maurycy de Terrade.

— Ach, mój drogi — zawołał inżynier, ściskając za ręce Piotra Cartelegue'a. — Gdym dzisiaj rano wrócił na miejsce, na którem cię zostawiłem, już cię tam nie było.

— Czekaliśmy na pana dość długo — odparł miliarder.

— Tak!... Proszę mi to wybaczyć!... Zapomniałem, że czekacie!... Koniec końcem, mój drogi Piotrze, od południa szukam cię wszędzie po mieście... W fabryce powiedziano mi, że będziesz tutaj o piątej godzinie i dlatego przybyłem...

— Masz mi co do powiedzenia?

— Spodziewam się.

Radość oszałamiała poprostu Maurycego. Chciał koniecznie wyznać wszystko przyjacielowi. A nie miał większego i bardziej ukochanego nad króla stu dwudziestu koni. Inżynier przystępował już do zwierzeń, gdy pukanie do drzwi przerwało mu w połowie słowa.

— Proszę! — zawołał Lewis Jackson.

Ukazał się chłopiec hotelowy. Jak zwykle był długi i wychudzony, jakby przez dzień cały nie jadł i zaspany, jakby przez noc nie zmrużył oka. Wejrzenie jednak miał jaśniejsze i ruchy żywsze. A zwłaszcza nos cienki i blady zgrubiał i nabrał różowego koloru. Dzięki napiwkom miliardera biedny posługacz zdołał już pokrzepić swe wyniszczone siły.

— Ma pan wizyty! — oznajmił, usuwając się, by przepuścić dwie kobiety i mężczyznę. Potem znikł zaraz za drzwiami.

Jedna z tych kobiet, niska, stara, o wypudrowanej twarzy była dozorczynią pałacyku przy ulicy Godot de Maurry. Druga była pokojówką. Mężczyzna był służącym.

Starsza kobieta postąpiła naprzód i kłaniając się z przesadną ceremonialnością, rzekła:

— Stosownie do żądań szanownego pana czekaliśmy przy bramie domu nr. 56 przy ulicy Laugier na ukazanie się panny Dubois... Daliśmy stróżce monetę pięciofrankową, by ją nam wskazała... O pół do piątej ta młoda osoba wyszła... Widzieliśmy ją i nawet przez chwilę szliśmy za nią...

— No i co? — zapytał flegmatycznie Lewis Jackson.

Piotr uczuł, jak serce przestaje w nim bić.

— Otóż — mówiła dalej dozorczyni pałacyku— panna Dubois nigdy ani krokiem nie postała u mnie. To nie ją przyjmował pan Turner.

— To nie ją! — powtórzyli pokojówka i służący.

— Jesteście tego pewni?

— Najpewniejsi! — potwierdziła dozorczyni.— Przedewszystkiem panna Dubois jest niższą... Przytem jej postać, jej ruchy, cały wygląd jest zupełnie inny... Niemożliwem jest pomylić się tutaj!

— Najzupełniej niemożliwem! — rzekła pokojówka i służący.

Maurycy słuchał tego wszystkiego z rozwartemi szeroko oczami.

Piotr dostał jakiegoś nerwowego drżenia. Walczyły w nim ból i radość. Szeptał:

— Moja Ludwika... Biedaczka... Co robić, by zapomniała doznanych przykrości?...

Potem zaczął płakać, jak dziecko. Lewis Jackson niewzruszony tem wszystkiem, rzekł na zakończenie:

— *All right!* Nie pozostaje mi więc nic innego, jak państwu zapłacić.

Dał już cztery tysiące franków dozorczyni i po dwa tysiące służącemu i pokojówce. Teraz wyliczył im drugie tyle i pożegnał ich. Przybyli wyszli, cofając się wśród ukłonów. Byli oni zachwyceni, olśnieni i oszołomieni. Sprawa, do jakiej zostali wmieszani ani ich nie dziwiła, ani nie budziła ich ciekawości. Codziennie widuje się ludzi, którzy chcą przeniknąć tajemnicę cudzych schadzek. Co ich jednak wprawiało w niewypowiedzialne zdumienie, to obojętność, z jaką ten wychudły jegomość, zajmujący zatęchły pokój w drugorzędnym hotelu, rozdawał zwitki banknotów. Widać było przytem, iż działa na własny rachunek. Miał on wygląd biedaka, a nie był wcale podobny do człowieka, który jest na usługach u bogacza. A co największy kontrast stanowiło z jego wynędznieniem i zniszczonem ubraniem, to jakaś pewność siebie, powaga niezwykła i duma w głosie, wejrzeniu i ruchach. Pokojówka ogólny podziw i zadowolenie wyraziła jednem słowem:

— Bajeczne!

Tymczasem Lewis Jackson z błyskiem w oczach zawołał do Piotra:

— *Well!* Zdobyliśmy wreszcie dowód!

— Co znaczy to wszystko? — zdziwił się inżynier.

— *Hallo!* Możemy to panu wyjaśnić, zwłaszcza teraz, gdy zamiast hypotez mamy już pewność.

I w kilku jasnych, krótkich, szybkich zdaniach businessman poinformował o wszystkiem zdumionego Maurycego.

Inżynier, przerażony tem, bez sił opadł na krzesło. Cios ten wśród radości, jaką był przejęty, odbierał mu myśli, oszałamiał go... Powtarzał tylko machinalnie:

— Rodzice Kamilli są nędznikami... prawie zbrodniarzami... Nieszczęsne dziecko...

Nagle Piotr otarł ręką łzy i rzekł głosem drżącym z oburzenia:

— Czekaliśmy tylko na dowód, by ich ukarać... Mamy go. Kiedy ich ukarzemy?

Nie dając Lewisowi Jacksonowi nawet czasu na odpowiedź, skierował się bezwiednie do drzwi i chciał wyjść, by wsiąść odrazu do samochodu, który czekał przed hotelem... Za kilka minut będzie u Maksyma Dureta...

— Ukarzemy, gdy cała sprawa będzie zupełnie wyjaśniona — oznajmił miliarder.

— Jest już nią.

— Nie... Jeszcze nie...

Wyrobiono już sobie zdanie o Maksymie Durecie i pani de Lagunan. Zupełnie jasną była ich rola w intrydze, jaką ułożyli przeciw nauczycielce. Dlaczego jednak Karol Turner pomagał tym ohydnym moralnym opryszkom? Czy między nimi leżał już jaki trup, który ich łączył z sobą na zawsze? A może Melbourczyk kazał sobie zapłacić za tę wstrętną komedyę? W takim razie nie byłby milionerem? Wypływałoby również z tego, że i to nazwisko jest tak fałszywe, jak jego majątek?

— Muszę się upewnić co do tego... — oznajmił Lewis Jackson. — Nic mi nie przeszkodzi żądać od Dureta, jego siostrzenicy i nawet samego ich przyjaciela wyjaśnienia, kim on jest... Nie potrzebuję już ich oszczędzać... Lecz mogą mi odpowiedzieć, co im się spodoba... A przytem nie chcę zadawać podobnych pytań!... Wolę wiedzieć sam wszystko, nie pytać się ich o nic, gdy im zedrę maskę z oczu.

I Amerykanin zakończył!

— Działajmy dalej w tajemnicy.

Mówił to swym zwykłym stanowczym tonem, któremu Piotr poddawał się zawsze bez oporu.

— Niech i tak będzie! — rzekł młody człowiek.

I znowu skierował się do drzwi.

— Dokąd idziesz? — zapytał Lewis Jackson.

— Powiedzieć Ludwice, że wiemy, iż jest niewinną.

— Lecz czy zobaczysz ją o tej porze?

Piotr zamyślił się.

— To racya — rzekł. — Muszę wobec tego napisać jej choć kilka słów.

Siadł przy chwiejącym się stoliku miliardera i napisał na arkuszu papieru:

„*Wiemy, że jesteś niewinna. Jesteś ofiarą*
„*nędznych zbrodniarzy. Błagam Cię na ko-*
„*lanach o przebaczenie. Oczekuję Cię. Przy-*
„*chodź zaraz!*“

Potem włożył arkusz do koperty i rzekł:

— Do widzenia!

Wybiegł szybko z pokoju i przeskakiwał odrazu po cztery stopnie ze schodów.

Maurycy nie rzekł jeszcze ani słowa. Biedny inżynier podniósł się wreszcie z wysiłkiem i rękami potarł sobie czoło i skronie.

— Pan także odchodzi? — zapytał grzecznie Lewis Jackson.

— Tak, panie — odparł Maurycy.

— Lecz ani słowa o tem, co pan tu słyszał — polecił miliarder.

— Niech pan będzie spokojny!... Do widzenia...

I wyszedł pod wrażeniem otrzymanych wiadomości.

— Przedewszystkiem — rozmyślał — muszę wyrwać Kamillę z jej rodzicielskiego domu... Musi być jak najdalej od nich... daleko od nich i od Paryża... gdy wybuchnie ten straszny skandal... Idę zaraz oświadczyć się o jej rękę.

XIII.

Ludwika po odejściu Piotra rzuciła się cała zapłakana na łóżko. Ta krótka rozmowa odebrała jej wszystkie siły. Leżała tak z twarzą na poduszce przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przypomniała sobie, że już czas pewnie iść do pracy. Podniosła się prędko, przetarła oczy świeżą wodą i wyszła z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

KONKURS.

Inżynier i radca miejski pan E. U. z Krakowa złożył w naszej Redakcyi zadanie arytmetyczne, oraz **dziesięć koron**, jako nagrodę za jej trafne rozwiązanie. W razie nadesłania większej liczby trafnych rozwiązań, rozstrzygnie losowanie, komu przypadnie nagroda.

Rozwiązania, **na osobnych kartkach napisane i dokładnym adresem rozwiązującego zaopatrzone**, należy nadsyłać pod adresem **Redakcyi Nowości Illustrowanych Kraków Zacisze L. 7.** najdalej do dnia 20 sierpnia br. Nazwiska rozwiązujących oraz nagrodzonego, podane zostaną w **Nrze. 35**, pisma z dnia **27 sierpnia 1910.**

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

Dla młodzieży szkół średnich.

Ułożył E. U. inżynier z Krakowa.

Napisać 1035 samemi czwórkami.
Napisać 114 samemi trójkami.

Nagrodę w kwocie dziesięć Koron w złocie otrzyma ten, kto rozwiąże oba te zadania zapomocą najmniejszej ilości czwórek, względnie trójek.

ZADANIE PRZYSŁOWIOWE.

Ułożył C. Kozłowski, Warszawa.

Z każdego z podanych niżej przysłowi wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1). Psie głosy nie idą pod niebiosy.
2). Gospodyni dobra trzy węgły domu utrzymuje, a gospodarz czwarty.
3). Głodnemu chleb na myśli.
4). Zły to ptak, co własne gniazdo kala.
5). Stara miłość nie rdzewieje.
6). Nadzieja do grobu nie opuszcza człowieka.
7). Kto się na gorącem sparzy, ten na zimne dmucha.

LOGOGRYF.

Ułożył S. Werstak, Warszawa.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, a powstaną wyrazy o podanem znaczeniu. Litery ich środkowe, czytane z góry na dół, utworzą nazwę senzacyi, zajmującej obecnie świat cały.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Bóg assyryjski. 2. Pierwszy książę panujący nad wszystkimi Madziarami. 3. Nakrycie głowy. 4. Inaczej kłamstwo. 5. Taniec. 6. Główna świątynia w Mecce. 7. Rzeka w gubernii Kowieńskiej. 8. Miasto w Hollandyi. 9. Wiersz Mickiewicza. 10. Wódz rzymski. 11. Ptak śpiewający. 12. Rzeka w gubernii Wileńskiej. 13. Hrabstwo w południowej Anglii. 14. Patryarcha żydowski. 15. Lekka, zalotna rozmowa. 16. Zwierzątko stojące na najniższym stopniu rozwoju. 17. Mała łódź.

ZADANIE DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył D. K. Tatara, S. Genesio koło Medyolanu.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
be, dla, gaj, noc, topole.

SZARADA.

Ułożył E. Sowiński, Ropki.

Pierwsza cała zgłoska
Miejscowość podolska,
Pierwsza bez spółgłoski
Oraz druga cała
Kontenta, gdy w mieście
Swój nabiał sprzedała.
Przed świtem jest w piecu,
Czasem i na wiecu.
Z drugiego trzeciego
Bez ostatnej głoski
Masz piewcę polskiego.
Porzuć wszelkie troski!
Całość to, zabytek
Pełny dziś rozgłosu
Niedawno w Krakowie
Nawarzył bigosu!

ZADANIE DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć polskie przysłowie:
Akta, kapa, pałac, rajca.

SZARADA.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Drugiego z pierwszem radzi unikamy,
Bywa tak czasem, że go i nie znamy,
Zaś drugie z trzeciem, pierwsze — drugie — trzecie
To wszystko ptaki, i w zimie i w lecie
Zawsze krążące niedaleko domu,
Ale wprost wstrętne, niemiłe nikomu.

ZADANIE DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Azew, gęś, Inn, taje, we, Zosia.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ellick Morn*: **Zbudź się i walcz.** Sztuka odnawiania duszy i ciała, przekład Wł. M. Kozłowskiego.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie